

TYGODNIK ILLUSTROWANY



ANASTAZYA

ANTONI KAMIŃSKI

Czas już uporządkować.

Achodzę na Wystawę Zachęty: moc obrazów, jeden na drugim, dobre, złe, groch z kapustą — rozbolała mnie głowa. Żeby znaleźć Chełmońskiego, musiałem się schylać do ziemi, spinać na palce, wreszcie znalazłem go w sąsiedztwie dwóch obrazów, znacznie, ale to znacznie słabszych, które jednak zabijały go: jeden czarnością, a drugi jaskrawością.

Za parawanem obrazy, w ramach okna obrazy, pod nogami obrazy — wszędzie obrazy — moc obrazów, ale wszystkie wydają się marne i nudne. Dlaczego tak jest? Powiemy krótko: „Bo są źle wystawione.“

Zmęczony idę do Krywulta: ten sam chaos. Ściany od góry, od pułapu do podłogi wytapetowane obrazami, pomieszanymi tak, że robi to wrażenie nie wystawy, lecz składu, i to składu, w którym chowają marchew i rzepe obok biżuteryi i futer, wachlarz koronkowy na beczce smoły.

Jakieś łby końskie wyglądają z ponad twarzy Matki Bolesnej. I to ma być wystawa?

Przepraszam, to jest wszystko: magazyn, skład, lecz nie wystawa.

Czy mam iść dalej, na Nowy-Świat? czy mam oglądać warszawskie polichromowane przez dyletanckie ręce poduszki pluszowe, nakrapiane kolorami? razem z obrazami i parawanami, pudełka od cygar i przyciski, obmalowane na olejno?

Brr... dość tego.

Wystawa to nie jest magazyn, a obrazy to nie są portmonetki, szciotki lub kalosze, ażeby urządzać z nich hurtowne magazyny.

Oglądać 2 do 3 lub 4 obrazów na raz nie można, tak samo jak słuchać dwóch lub trzech kawałków na fortepianie na raz. Wydaje się to w Warszawie całkiem naturalne, że się ogląda 100 obrazów, natłoczonych w jednym momencie i w jednym miejscu. Oko widzi but na tym, oko załzawione na owym, zielone drzewo na lewo i czerwoną suknię na prawo.

Cobyście powiedzieli, gdyby Filharmonia robiła zbiorowe jednoczesne koncerty, trzy orkiestry, dwa chóry, kilku solistów, i to wszystko bardzo pięknie grałoby i śpiewało razem, ale każdy co innego? Coby to było? Byłoby to prawdopodobnie coś tak straszne-go, że ludzieby puciekali.

A obraz jest też utworem pewnej duszy ludzkiej, która w swej harmonii jest nie podobna do innej duszy, i z równoczesnego oglądania dwóch obrazów na jeden rzut oka rodzi się też w duszy widza rozdźwięk wrażeń, czyli wzrokowa „kakofonia.“

Dlaczego tak jest, jakeśmy to na wstępie powiedzieli, na wystawach sztuki plastycznej w Warszawie? Pewno dlatego, że nawet sami artyści są przyzwyczajeni do kakofonii i pomimo tego, że im to wprost bardzo szkodzi, tak mają już przytępiłą wrażliwość, że tej kakofonii nie odczuwają.

Publiczność znowu, ta nieszczęśliwa publiczność, która się tłoczy i tłoczyć się będzie, głodna wrażeń, przyzwyczaiła się z tru-

dem wyodrębniać z tego chaosu pojedyncze obrazy, w myśl teorii przystosowania. Ale ten trud jest zupełnie niepotrzebny, owszem: jest wprost szkodliwy — dla samych malarzy.

Wobec tego, że wkrótce będziemy mieli dwie wystawy, urządzone jako lokale na sposób europejski, sądzę, że nigdy moment nie będzie odpowiedniejszy do zerwania z magazynowym sposobem urządzania wystaw.

Wszystkie wystawy zagraniczne stałe, to jest takie, które można przez cały rok zwiedzać, bywają urządzone w ten sposób, że obrazy wiszą tylko jednym rzędem, na wysokości oka średniego wzrostu człowieka, poddzielane od siebie kawałkami spokojnej, obojętnego koloru ściany.

Jeśli zarząd ma obrazów więcej niż miejsca, odkłada później nadeszłe do magazynu, i w miarę ubytku przez sprzedaż, opatrzenie lub odebranie przez autora, uzupełnia nowymi puste miejsca.

Obrazy dłużej nad 3 miesiące na żadnej wystawie nie wiszą, ponieważ zagraniczne towarzystwa są w stałym porozumieniu i wzajemnie sobie obrazy przesyłają. Lipsk przesyła Dreznu, Drezno — Lipskowi, dalej Wrocław — Magdeburgowi, i t. d.

U nas kto chce zobaczyć obraz, musi przyjechać do Warszawy; tymczasem Łódź, Radom, Lublin, Kalisz, Piotrków, Kielce i t. d. obrazów nie widują, chyba Łódź jedna, czasem, jakie odpadki od salonów warszawskich.

Przy odrobinie, ale to odrobinie mikroskopijnej dobrej woli, możnaby uregulować tak ruch okrężny obrazów, że wszystkie miasta kraju naszego miałyby wystawy stałe, i obraz, któryby zaczął karierę na wystawie Zachęty, skończyłby swoją okrężną podróż w kieszeni malarza w postaci not Banku Państwa.

Bo teoria prawdopodobieństwa nas poucza, że jeżeli obraz widzi jeden człowiek, to on może mu się nie podobać do tego stopnia, aby go sobie kupił; ale jeśli pomnożę wielokrotnie liczbę oglądających go ludzi, to z pewnością widoki jego podobania się zwiększą tak samo, i nastąpi prawdopodobieństwo sprzedania go, tem bardziej, że na wystawie urządzonej dobrze — możność *widzenia* obrazu wzrasta nieskończenie.

Wiemy z fizyki, że gdy pobudzimy do dźwięku kamerton, nastrojony na nutę C, to wszystkie przedmioty zdolne ten dźwięk wydać, pobudzone drganiem powietrza, wydadzą ten sam ton; jest to powinowactwo.

Takie powinowactwo istnieje i w świecie uczuć i wrażeń.

Jeden widz stanie przed obrazem, wystawiającym, dajmy na to, wschód słońca, i będzie patrzył na to, jak malarz kładł farbę; tymczasem w drugim zadrza cała gama wrażeń subtelnych, wydobytych gdzieś z głębi duszy, na widok tego samego obrazu, i obraz mu się naprawdę podoba, bo między autorem a widzem nawiązuje się nie powinowactwa uczuć.

Otóż takiego powinowactwa trzeba szu-

kać, trzeba mu ułatwiać, nie utrudniać, drogę, przez natłaczanie w jednym miejscu i w jednym czasie masy obrazów, które się wzajemnie zabijają, jak światło przez płytki turmalinowe spolaryzowane, czyli zgaszone.

Osobistość, jaźń, osobowość, jak chcecie, istniała i istnieć będzie. Jest to ta odrębność jednej duszy od drugiej, której szukają wszyscy w powieściach, muzyce i malarstwie, i innych objawach duszy ludzkiej.

To jedno: dusza jest interesująca w sztuce. Nazywają to ogólnie indywidualnością, Naumyślnie wymieniliśmy ten wyraz brzydki i długi, aby go już nie wspomnieć i sprawić mu pogrzeb, bo nie jest polski. Otóż malarz, malując obraz, pobudzony jest do tej pracy przez wewnętrzną potrzebę wypowiedzenia swoich wrażeń i, z wyjątkiem zupełnego braku zdolności, lub zupełnego nieuctwa, w każdym obrazku, obrazie, w każdym rysunku — mieszka część, cząsteczka duszy malarza.

Ten dyamencik powinniśmy odszukać, bo często on jest bardzo cenny i bardzo świetlane blaski może rzucić na duszę innego człowieka, i dać mu tę rozkosz, jaką naprawdę tylko od utworów sztuki otrzymać możemy.

Szanujmy więc duszę ludzką, każdą, bo ona wygląda z ram obrazu.

Ktoby sądził, że takie *urządzanie* wystaw, jakie się praktykowało dotychczas (używam umyślnie czasu *przeszłego*!), nie jest bardzo szkodliwe dla rozwoju prawidłowego sztuki naszej, myliłby się grubo.

Celem sztuki jest uszlachetnianie ludzi, tak artystów, jak i ich bliźnich; celem sztuki jest łagodzenie obyczajów, osładzanie życia, które zawsze jest marne, a często nieznośne.

Jakim sposobem można osiągnąć taki cel, gdy się z przedmiotów sztuki urządza tandetę, gdzie brylanty leżą obok śmieci?

Jakim sposobem można znaleźć cichą i słodką duszę ludzką w tłumie?

Byle łachman czerwony, wywieszony w sklepie tandeciarza, przyciągnie oko. Byle warchoł hałaśliwy i nieznośny, wraskiem zwróci na siebie w tłumie uwagę.

Żeby o mnie wiedziano, muszę łokciami rozpychać; żeby mnie słyszano, muszę wziąć albo wielki bęben, albo wielką trąbę, i bębnić i trąbić o sobie. A kto tak robi?

Tak robią nie artyści, lecz jarmarczni kuglarze i pajace, a tymczasem ciche i słodkie dusze, któreby mogły nie jedną tęsknotę ukoić, nie jedną łzę gorzkości osuszyć, szturgane, oplwane, spotwarzane przez tłum, przemykają się ukradkiem, dobrze jeśli nie zostaną na śmierć zatratowane przez bezmyślny tłum, który biegnie patrzeć na pajaca, wykrzywiającego cyniczną gębę, bijącego w wielki bęben.

Szanujmy duszę ludzką! Pozwólmy każdej, choćby cichym głosem, wyśpiewać barwę i kształtem swoje bóle i radości, swoje złudzenia i nadzieje, wspomnienia wrażeń niewinnych, albo poczucie siły i dzielności

bohaterskiej. Udzielmy głosu każdemu, kto chce mówić do nas, bo tym sposobem usłyszeć możemy głosy, które koją, cieszą i wlewają nadzieję, dają możliwość życia i życie to osładzają.

* * *

Więc możemy, będziemy mieli odpowiednie lokale. Niech na początku XX wieku spełni się u nas to, co się spełniło dawno gdzieindziej; wystawiamy każdy obraz osobno, tak, jak gramy na koncercie każdy

utwór muzyczny osobno, tak, jak czytamy na raz tylko jedną książkę.

Jeśli jest kilka obrazów jednego malarza, powinny one być wystawione razem, nie zaś porozciskiwane po całej wystawie.

Niech obrazy nie pleśnią całymi dziesiątkami lat na jednym miejscu: urządzmy określone wystawy w miastach prowincjonalnych. Niech takie wystawy nie będą rzeczą przypadku, lecz systemem; wtedy malarze będą mieli bodźca do robienia rzeczy szczyrych i dobrych, wtedy *robótka z główką* z pamięci znikną z wystawy; wtedy krytyka

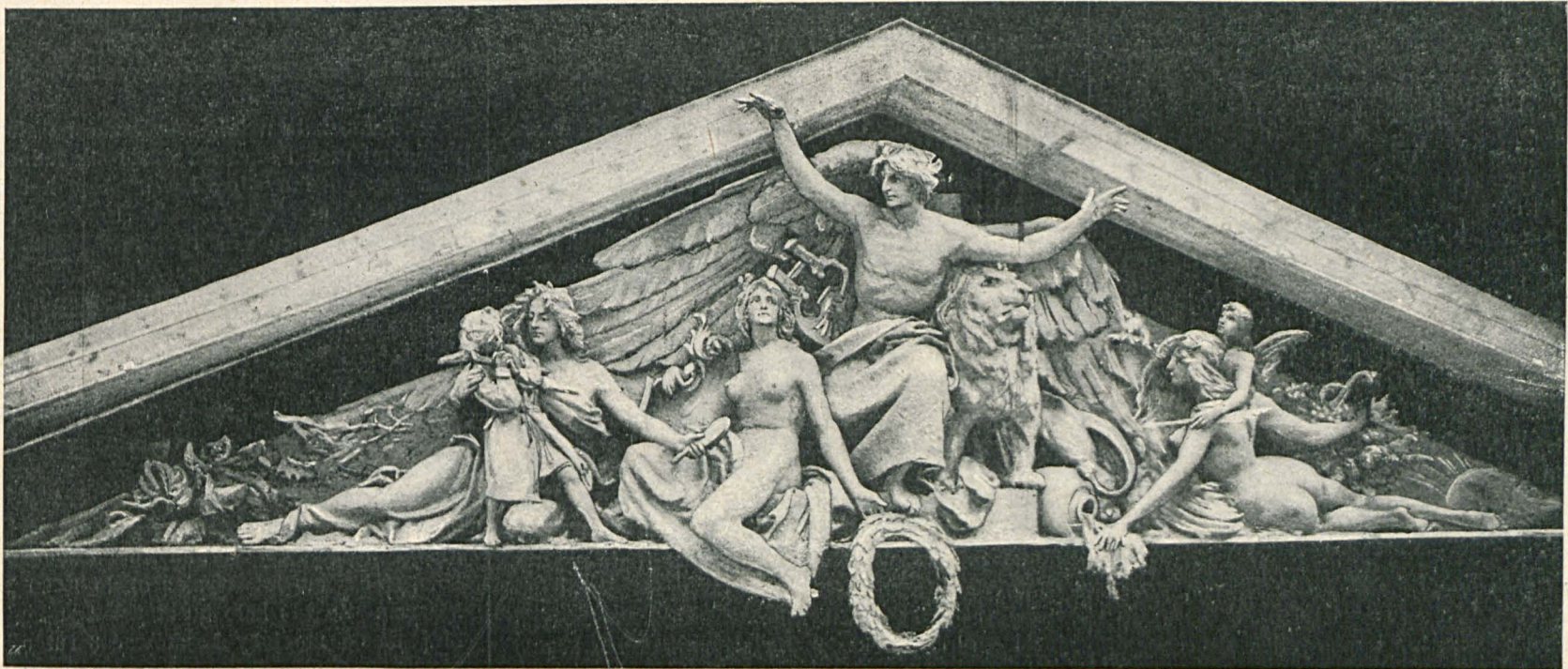
nie będzie słuchała, gdzie bębni bęben i grzmi trąba, lecz dopatrywać się będzie tego, co jest istotą życia i sztuki, duszy ludzkiej. Nie będzie układała nazwisk autorów w szufladach z etykietami, jak w aptece prowizor robi z lekarstwami, lecz pozwoli każdemu malować to, co mu w danej chwili dusza podszepnie.

Materyaliści, zapytacie pewno: A finanse? a administracja? a lokale?

To mnie nie obchodzi: idźcie z tem do komitetów.

A. PIOTROWSKI.

Warszawa, we wrześniu



Tympanon na nowym gmachu Tow. Zach. Sztuk Pięknych w Warszawie, według pomysłu Zygmunta Otto.

Z tygodnia na tydzień.

Idylla jesienna, kartofle i osuszka buraczana.

Coraz ciszej—wrzesień, wrzesień,
Słońce rzuca blask z ukosa,
Oschła z polnych kwiatów rosa—
Oto jesień, polska jesień!

Polska jesień nie zawiodła w tym roku. Postraszyła w początkach września chłodem, tak, że kożuszek przywdziać rankami nie wadziło, ale za to dała później szereg dni tak jasnych, słonecznych, ciepłych, jakby to było w środku lata.

I wędrowało po turkusowym niebie słońce złote, dziwiąc się, że pola już puste. I szło ponad borem ciemnym, gdzie wśród zieleni sosen i świerków przegląda kanarkowy liść brzeziny, czerwienieją buki, szepcze drżący liść osiki i w pełni światła srebrzą się bujne korony białodrzewa. Ciepło, jasno, nie czuć jeszcze zimy. Nawet nie wędrują pajęczki nici, ów symbol babiego lata.

Pomimo stałej pogody, nie zeschła nać kartoflana. Zielenią się obszerne plantacje buraków cukrowych, i lubin ani myśli dojrzewać, rozstawiając pełne koleczaste strąki, jakby z pogrózką: „Nie idź, bo pożałujesz tego!”

Ale na polach stert zbożnych skąpo. Mało słomy, niewiele paszy, a ziarno, chociaż piękne, jakością ilości nie wyrówna...

Jesienna sielanka ma jednak swoje ciemne strony. Zbyttnia susza w wielu miejscach utrudniała uprawę roli. Nie widać bujnie zieleniejącej runi i nieco deszczu nicby nie zaszkodziło.

Jarmark Ś-to Michalski porządnie opróżni kieszeń, bo trzeba wypłacać zasługi służbie, a ów grosz pójdzie do kieszeni jarmarcznych handlarzy

na buty, kożuchy, czapki z fałszywego baranka, cieplejsze kurty i kapoty.

Jeszcze gorszy kłopot z jesiennym żniwem, respective z kopaniem kartofli i sprzętem buraków.

Już obecnie, po zachodzie słońca, rozpoczyna się zwózka czeladnich kartofli do tak zw. dołów przy czworakach. Szkapy fernalskie mają za swoje, ale inaczej być nie może.

Szczęście, jeśli nieco niemrawy Wojtek nie złamał dyszla, albo szkapy nie okulał.

Parobczychy prowadzą wojnę o kartoflane doły. Ekonom i karbowy muszą wysłuchać skarg i lamentów, a jeśli żądaniom zadosyć nie uczynią, biada im! Czyni się gwałt i zamęt, a wrażliwe na białogłowski wrzask ucho, razem z właścicielem swoim, skrzętnie takich potoków wymowy unika.

Przezorni plantatorowie buraków cukrowych zaopatrują się w wagę, albo jeśli posiadają już ów cenny sprzęt, należyście opatrują go i regulują.

Albowiem umiejętność ważenia w fabrykach, słodycz produkujących, jest iście chińską umiejętnością.

Trudnem do wytłómaczenia zjawiskiem jest strata na wadze, jakiej podlegają buraki podczas podróży z pola do cukrowni.

Czasem osuszka wynosi kilka centnarów na jednym wozie, a operacja taka szlamuje kieszeń producenta w sposób podziwiania godny.

Skoro więc każdy wóz z ładunkiem zważy się na własnej wadze, rezultat zapisze—kontrola

buraczanej osuszki jest łatwiejsza, i spór o niedobory staje na więcej realnym gruncie.

Żaden bokser chiński nie jest tak zawzięty na głowy Europejczyków, jak cukrownik na lby buraczane. Ścinałby je razem z szyją przy samym kadłubie.

Żaden łaźienik nie zadowoliliby również cukrownika, docierając moczalką buraczaną skórę do alabastrowej białości.

— Cóż, ja może wam będę flanelę do wycierania buraków kupował?—grzmiał raz doprowadzony do pasyi, stateczny zresztą i cierpliwy właściciel plantacji.

Cukrownikom na ów krzyk serca ani jeden muskuł nie drgnął...

Zdawało się, że w ich obliczach zastygł surowy spokój, jak w śpiczastych głowach rafinady. I przychodzi na myśl słowa pisma:

„I zjadłem one książeczki, a w usciech moich były one słodkie jako miód, ale uczyniły go rycz jako piołun w żołądku moim...”

To samo dzieje się z plantatorami przy odstawie buraków—i przy ostatecznym obrachunku. Przed laty śpiewano piosneczkę:

Wlaż Icek na cukier,
W górę mu śrubował,
Cukier się rozpuścił,
Icek zbankrutował...

Dziś można by zaśpiewać:

Cukrownik wyprawia
Plantatorom chrcziny,

A sam się jak dyabła,
Boi sacharyny...
Więc z dobrego serca
Cukrownikom radzę:
Znieście sydykaty,
Nie rznijcie na wadze!

g

✽

Tympanon na nowym gmachu Towarz. Zachęty Sztuk Pięknych.

W grudniu r. b. nastąpi otwarcie nowego gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Skoro wszystkie roboty będą ukończone, nie omieszkamy zamieścić szeregu reprodukcji, dających dokładne wyobrażenie zarówno o zewnętrznym, jak i wewnętrznym wyglądzie gmachu. Obecnie podajemy rysunek, wyobrażający tympanon.

Tympanon komponował znany artysta-rzeźbiarz Otto, jego też pomysły są i inne grupy i figury poszczególne, które będą zdobiły nowy nasz pałac sztuki.

Na załączonej reprodukcji widzimy w środku dużą figurę Geniuszu, wspartego na lwie, jako na upostaciowaniu Siły. Geniusz skrzydłami swojemi obejmuje pozostałe postaci, które tłómaczą się w następujący sposób:

Po prawej stronie grupa, złożona z dwóch figur, wyobraża Piękno, po lewej stronie—taką grupę wyobraża Prawdę. Wreszcie u stóp Geniusza Sztuki widzimy Muzę. Cała kompozycja, ściśle alegoryczna, pomyślana jest nader artystycznie. I nie ulega kwestyi, że tympanon stanie się jedną z największych ozdób zewnętrznych gmachu.

✽

Gry i zabawy dla dzieci.

„Kurier Codzienny,” mówiąc w artykule wstępnym o znaczeniu wychowania fizycznego, zwraca uwagę na brak w Warszawie odpowiedniej miejscowości, gdzieby młodzież wyższych i średnich zakładów naukowych mogła uprawiać ćwiczenia fizyczne, oraz zabawiać się w gry zbiorowe na wolnym powietrzu.

Młodzież uniwersytecka i szkolna za granicą posiada podobne urządzenia. Wyższość gier i zabaw na wolnym powietrzu nad ćwiczeniami gimnastycznymi na komendę, oraz nad mustrą i marszami wojskowymi jest ogólnie uznana...

Pierwszeństwo pod tym względem należy się Anglii, gdzie gra w piłkę nożną, kriketa, lawn-tennis jest tak rozpowszechniona, gdzie wyścigi piesze, regaty i wszelakiego rodzaju sporty budzą żywy interes nie tylko wśród młodzieży, lecz i całego społeczeństwa. Za przykładem Anglii poszła Francja i Włochy. W Niemczech coraz więcej zasada swobodnych ruchów bierze górę nad gimnastyką, marszami i mustrą, bo nawet taka powaga wojskowa, jak feldmarszałek Moltke, uważał zabawę w żołnierzy za bezcelową. O rozpowszechnieniu ćwiczeń cielesnych w Szwajcaryi wiadomo każdemu, kto choć trochę interesuje się wychowaniem fizycznym.

U nas pod tym względem panowało karygodne zaniedbanie.

Młodzież ucząca się najwięcej takich gier i zabaw potrzebuje. Prowadząc życie siedzące, pracując ciągle w kierunku umysłowym, rozwija się jednostronnie, przedrażnia i wyczerpuje nerwowo. Kombinacja gier i zabaw z gimnastyką jest najlepszym systemem prawidłowego, fizycznego rozwoju. Ćwiczenia cielesne dla dziatwy od lat siedmiu są nieodpowiednie, i zwykle naukę gimnastyki po skończeniu siedmiu lat można systematycznie prowadzić. Dla każdego wielce są właściwe zabawy i rozrywki. Ale należycie pojęte wychowanie fizyczne młodzieży trwa przez całą epokę jej rozwijania się i wzrostu, przez długie lata nauki, która przecież ciągnie się niemały przeciąg czasu.

Na co przydadzą się teoretyczne rozprawy, na co uczone dowody, że równomierne rozwijanie władz cielesnych i umysłowych jest celem rozumnego wychowania, jeśli nie się w tym celu nie robi?

Młodzież nie ma gdzie się zabawić i odpocząć, niema miejsca do wspólnej rozrywki nie tylko w Warszawie, gdzie dzięki spekulacji każdy kąt wolny sprzedano lub zabudowano, lecz i na prowincyi, gdzie przecież odpowiednich placów nie brakuje.

Towarzystwo gimnastyczne dla młodzieży wyższych zakładów naukowych jest rzeczą konieczną. Takie towarzystwa istnieją wszędzie, a pożytek ich jest wielki.

Niema najmniejszej wątpliwości, że znaleźliby się ludzie ofiarni, którzyby chętnie przyszli z pomocą sprawie, mającej na celu zdrowie młodego pokolenia. Byłoby to dalszem rozwinięciem „ogrodów dziecięcych,” jakie dzięki zapisowi ś. p. Raua Towarzystwo higieniczne będzie mogło dla Warszawy urządzić.

Nie tylko drobna dziatwa potrzebuje światła, powietrza i ruchu. Są to konieczne potrzeby przyrodzone dla każdego wieku, a szczególnie dla młodzieży uczącej się, która kształcąc się jednostronnie zatracą ową harmonię władz, danych przez naturę, nie ma siły i energii do przyszłej życiowej pracy, marnieje i wyradza się ze szkodą olbrzymią dla społeczeństwa.

✽

Spółki spożywcze.

Drożyzna pierwszych potrzeb do życia daje się we znaki mieszkańcom miast prowincjonalnych. Aby temu zapobiedz i unormować ceny produktów nadmiernie wysokie, poczynają się wiazywać spółki spożywcze. Instytucja taka powstaje obecnie w Lublinie. Uczestników zebrano już liczbę dostateczną. Będziemy mieli wkrótce wiadomość o pierwszym zebraniu, na którym dopełnią się wybory na członków zarządu i omówi zakres działania spółki. Na początek ma być założony sklep spożywczy, ale stowarzyszeni z biegiem czasu mają zamiar mieć skład węgla, mleczarnię, jatkę i t. p.

Jest to bardzo pocieszający objaw, że konsumenci poczynają myśleć o własnej kieszeni i bronić się od wyzysku. Wadliwe w najwyższym stopniu obecne stosunki handlowe dają się we znaki nie tylko ubogim, lecz i zamożniejszym rodzinom.

Zawiązanie bezpośredniego stosunku z producentami wyjdzie na korzyść i producentom i spożywcem.

Należy tylko pamiętać o tem, aby kierownictwo interesu powierzono ludziom znającym rzecz i energicznym, a za powodzenie śmiało ręczyć można.

Doświadczenie uczy, że każde dobrze zorganizowane towarzystwo przynosi doniosłe korzyści. Działalność zbiorową należy popierać całą siłą, bo na tej drodze stawiamy pierwsze kroki.

A czas wielki pomyśleć o tem wobec ciężkich warunków bytu, wzrostu ludności, braku pracy i różnych niekorzystnych dla rozwoju społecznego okoliczności.

Z ciężko zarobionym groszem liczyć się muszą ludzie pracy, aby ten grosz nie przechodził do kieszeni wyzyskiwaczy, żeby amatorowie lekkiego a zyskownego zarobku nie znajdowali jak dotychczas gromady bezradnej, pozwalającej obdzierać się bezkarnie.

g

✽

Ratowanie tonących na wsi.

Statystyka wykazuje, że corocznie w kraju około 200 ludzi tonie. Ale taka to i statystyka.

Czytaliśmy nieraz, że np. w gubernii zmarło 25 osób na ospę. A wiadomo nam było, że w jednej wiosce po 25 dzieci na ospę umierało. A takich wiosek były setki.

Więc dajmy pokój statystyce, bo możemy się tak zagalopować, jak ów statystyczny delegat, co mając zebrać cyfry, dotyczące pszczołnictwa, kazał chłopu zalać gorącą wodą ul, a następnie na przetaku zrzucać ugotowane pszczoły,—z czego wypadło, że gubernia posiada nie wiem już ile milionów pszczoł.

Komitet statystyczny zauważył, że się delegat „przełgał”, i nie tylko dyjet nie zapłacił, lecz wprost „przegnął” z tak godnego stanowiska „rachmistrza narodowego.”

Przypuśćmy, że corocznie tonie w Królestwie Polskiem 275 ludzi.

Przecież szkoda, że ludziska darmo giną... Trzeba coś temu zaradzić.

Dr. Łazarowicz proponował w wydziale ludowym Towarzystwa higienicznego—zaprowadzenie kół ratunkowych z korka wyrabianych, które to przyrządy do ratowania tonących służą wybornie.

Takie koła należy zawieszać na słupach nad brzegami rzek i stawów, gdzie się ludność kąpie. Również powinny być łódki. Aby kół złodzieje nie kradli, radził dr. Ł., aby te koła poświęcać przedtem w kościele i malować na nich „oko Opatrzności.”

Przypuśćmy, że złodziej ukradnie i z okiem, jeśli potrafi kraść aparaty kościelne, lub pieniądze z kościelnych skarbonek. Ale zawsze rada dobra...

Pan Rawicz—prezes Towarzystwa ratowania tonących — ofiarował się dostarczać kół ratunkowych darmo.

Znów nieszczęśliwa statystyka!

Sądźmy, że lekko rachując, gdyby każda gmina zażądała od pana Rawicza choć cztery koła, toby musiał wysłać około 1,600 kół ratunkowych. Że zaś koło kosztuje—4 ruble, a w takiej masie mogłoby kosztować 3 ruble, to—jeśli nie zapomnieliśmy mnożyć, (a mnożenia nigdy zapominać nie wolno)—to szanowny prezes musiałby wydać 4,800 rubli monety kurs w kraju mającej.

Wdzięczność społeczna byłaby wielka, ale żeby nie przeciągać struny i nie nadużywać dobrej woli, dr. Dobrzycki słusznie proponował, aby koła ratunkowe robić z korków od piwa, które się marnują wszędzie bez pożytku.

A przecie piwko ludem ciągnie przyzwolicie—i korków nawet na 1,000 kół nie zbraknie, a resztę może Szanowny prezes, jeśli taka będzie wola jego,—ofiarować w prezencie narodowi.

Żart żartem, ale projekt pożyteczny i dobry. Prócz tego wspomnieć należy, że tonie zwykle ten, co pływać nie umie. A nauka pływania jest tak łatwa!

Widzieliśmy sześciolatek dzieci, pływające jak szczupak w Niemnie, albo łosóś w Wiśle. Kto umie pływać, z łatwością pół godziny bez najmniejszego zmęczenia i wysiłku na powierzchni wody utrzyma się. Należałoby zaprowadzać naukę pływania w szkołkach wiejskich, szkołach elementarnych, gimnazyach. Z każdej wsi wysłać jednego człowieka, aby się pływać nauczył i wykształcić go tak, żeby następnie drugich pływać (po wodzie, nie piasku) uczył. Za naukę koszt się zwróci, bo za sześć do 10 rubli pływać wyuczyć się można.

Znakomita gimnastyka, dla zdrowia cudna rzecz—a do ratowania tonących konieczna. I do tego, żeby samemu nie utonąć w razie wypadku nieodzowna.

Więc koła ratunkowe—kołami, a nauka pływania swoim porządkiem—winny być propagowane koniecznie.

Zanadto jesteśmy wogóle zniewieścieli i nie-doleżni. Umiemy flirtować, tańczyć, ślizgać się, ciągnąć piwko w knajpeczkach, słowem uprawiamy to, co mało pożyteczne—albo i szkodliwe.

Nauczmy się tego, co pożytek przynosi.

✽

OSSOJE.

Opis i rysunki Ludwika Śfasiaka.

Gdy pociąg przebędzie przepaście i wodospady między Chiusaforte a Pontebą, pejzaż zmienia się do niepoznanania. Lodowce, wieczne śniegi alpejskie i nagie granity nikną z oczu; zaczyna się górzysta wprawdzie, ale bujna i urodzajna słowiańska ziemia. To Karyntyja.

Łany jej żyzne, lasy gęste, wsie zamożne; patrząc zaś na zielone, obsypane milionami kwieciami łąki, nie chcesz wierzyć, że takie trawy i takie kwiaty mogą rosnąć u stóp Alp, które w dali wiecznym śniegiem bieleją.

Pociąg mija malowniczo rozrzucone wsie i sioła, dworce kolejowe i przystanki, których nazwiska brzmią nieraz okropnie. To Niemcy słowiańskie nazwy tak przechrzcili; uczynili zaś to po części z dobrego serca, po części zaś dlatego, aby obce im brzmienia umelodyjnić i więcej śpiewnemi uczynić.

W tutejszym żargonie Żabnice nazywają się „Saibnitz“, Visarje „Luschaviberg“, Piece „Pöckau“, a Mlinare „Mühlner“. Również pięknie przerebiono Podsturio nad Zillą na „Neuhaus am Gail“, Brnca na „Fürnitz“, Ossoje zaś na „Ossiach“.

W Ossoje (po niemiecku Ossiach, Ossiak) staje kurjer w półtorej godziny po opuszczeniu granicy włoskiej. Wieś ta leży nad ogromnem jeziorem Ossojskiem, przeszło dwie mile dłużej, uwiecznionem dokoła w rozkoszne gaje, łąki i łąki. Krajobraz, kwiecie polne, przypomina dziwnie ziemię polską, takie tu wszystko barwne, piękne i bujne; z mokrych łąk patrzą na gościa wielkie żółte oczy rumianków, jaskrów, ruń czerwieni się firletka, którą przeplatają liliowe dzwonki, zupełnie tak, jak pod Krakowem.

Kwiecie to i podobieństwo do polskiej ziemi musiało skłonić Bolesława Śmiałego, że tu postanowił zakończyć swoje tak bardzo nieszczęśliwe życie.

Od stacyi kolejowej Łódź rybacka przewozi nas przez szerokie, głębokie i rybne Ossojskie jezioro. Na drugim jego brzegu, nad samą niemal wodą, bieleją mury kościoła i baszty opactwa, w którym nasz wygnaniec odpokutował pamiętny dzień 8 maja 1079 roku.

* * *

Sprawa tragedji dziejowej, która rozegrała się na Skalce krakowskiej, i której epilogiem było wygnanie Bolesława Śmiałego z kraju, ma już u nas swoją osobną literaturę, pokazaną rozmiarami, a obejmującą w swej treści wszystkie niemal najwybitniejsze nazwiska naszych historyków.

Mimo to, niemasz w naszych dziejach mniej rozjaśnionego punktu, niż ów wielki fakt historyczny. Dzieje się to głównie dlatego, że historycy mają tu historyzotia, że dramat krakowski oświecła każdy na swój sposób i zabarwia swemi zapatrywaniami i przekonaniem politycznem.

Z kwestyi zabójstwa św. Stanisława i upadku jego zabójcy robi się u nas traktaty teologiczne i antyklerykalne, kwestyę walki szlachty z ludem, kwestyę walki władzy duchownej ze świecką, skutkiem zaś nieodzownego przytem zacieńtrzewienia i stronniczego zabarwienia, sprawa się zaciemnia, zamiast rozjaśnić.

Czytelnik bezstronny, który czei z jednej strony wielkiego patrona kraju, św. Stanisława, z drugiej zaś umie ocenić olbrzymi talent wojenny i polityczny potężnego jego przeciwnika, spadkobiercy idei Chrobrego, dojść musi do wniosku, że póki nie znajdzie się pyłach bibliotecznych, zbiorowiskach archiwalnych, nowy i pewny histo-

ryczny w tej sprawie dokument, fakt ten zostanie niewyjaśnionym, a fałszywe oświecenie historyczne, obrzucanie błotem którejkolwiek z tych wielkich postaci dziejowych, jest czynem nierozważnym i nienaukowym, a nawet nieobywatelskim.

Cała polemika w tej sprawie toczy się około słów kroniki Galla, które dosłownie tu cytujemy:

Qualiter autem rex Boleslaus de Polonia sit ejectus, longum existit enarrare, sed hoc dicere licet, quod non debuit christianus in christianos peccatum

quodlibet corporaliter vindicare. Illud enim multum sibi nocuit, cum peccato peccatum adhibuit, cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit. Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus, sed hoc in medio deferamus et ut in Ungaria acceptus fuerit disseramus.

Jest to najdawniejsza wiadomość o tym fakcie, pisana prawdopodobnie już w kilkadziesiąt lat po wypadku, to też w pierwszej linii na wiarygodność zasługiwała, gdyby nie słusznie podnoszone wąt-



Narożna baszta opactwa w Ossojach.

pliwości, co ma znaczyć wyraz „traditor“, którego Gall w określeniu św. Stanisława używa.

Okolo tego też wyrazu „traditor“ snują się wszelkie wywody, wszelkie hipotezy naukowe, które tutaj w krótkim przytoczymy streszczeniu.

Ksiądz Kalinka w broszurce swej „Męczeństwo św. Stanisława“, Maurycy Dzieduszycki i inni, piszący apologię św. Stanisława (np. A. W. „Stanisław, biskup krakowski“ w Słowniku apologetycznym ks. Wł. Sześcińskiego), apoteozując biskupa, potępiają jego zabójcę, Gallowi zaś albo zarzucają fałsz i kłamstwo, popełnione w celu zyskania łaski Bolesława Krzywoustego, a to celem uzyskania od niego biskupstwa kruszwickiego, albo tłumaczą, że wyrazu „traditor“ nie należy brać w dosłownym jego znaczeniu.

Wywody te katolickich pisarzy znajdują silne poparcie w gruntownej pracy d-ra Maksa Gumpłowicza, który po długich studiach nad żywotem i kroniką Galla dowiódł, że Gall nie przybył do Polski bez zamiaru zrobienia tutaj kariery, a kronikę swą pisał nietylko dlatego, aby „za darmo chleba polskiego nie jeść“ (*lib. III epistolae*), lecz także po to, aby schlebując Krzywoustemu, z opata w Lubieniu na biskupa w Kruszwicy zaawansować.

Jeśli tedy Gall pisał rzeczoną kronikę jako nadworny historyograf Krzywoustego, jeżeli starał się mu pochlebiać, zrozumiałem jest łatwo, że mogło mu zależeć na rehabilitacji rodzzonego stryja Krzywoustego, Bolesława Śmiałego, co łatwo było mu uczynić, zarzucając zdradę św. Stanisławowi... i w ten sposób zmniejszyć winę stryja swego chlebowadcy.

Pisarze obozów przeciwnych (np. Franciszek Stefczyk: „Upadek Bolesława Śmiałego“ w Ate-neum, 1886), odpowiadają na to, że Gallus należał do stanu duchownego, był opatem i biskupem, że poświęca swoją pracę pięciu biskupom, którzy go zachęcali do jej napisania, że zatem słowa jego nie są pochlebstwem dla Krzywoustego i fałszowaniem faktu, lecz szczerą prawdą, której nie można było już w kilka lat po dziejowej tragedii przeinaczyć.

Inni nasi pisarze o upadku Bolesława stawiają najrozmaitsze hipotezy.

Naruszewicz, skłonny do sceptycyzmu w sprawach religijnych, nie bada tej sprawy głębiej, idzie w opowiadaniu za Długoszem i Kromerem. Czacki zarzuca wręcz biskupowi znowę z Czechami. Znakomity i gruntowny nasz Lelewel widzi w Bolesławie opiekuna chłopstwa przeciw szlachcie i złączonemu z nią duchowieństwu. Szujski zaś, „unikając niebezpieczeństwa stawiania jeszcze jednego zdania“, dopatruje się buntu ludu, będącego pod opieką króla, w św. Stanisławie zaś widzi duchownego, działającego pod wpływem kierunku, który zapanował za Grzegorza VII.

Są nawet i tacy, którzy, (np. Moraczewski), analizując źródłowe teksty, dochodzą do wniosku, że Bolesław Śmiały pokaleczył tylko biskupa krakowskiego.

* * *

Dnia 8 maja 1079 r. zabił Bolesław własną ręką biskupa krakowskiego, odprawiającego służbę bożą na Skałce w Krakowie. Z zapalczywym gniewie posiekał ciało biskupa na kawałki. Oburzone tą zbrodnią duchowieństwo spowodowało, że na króla i na kraj cały rzucił Kościół klątwę.

Z dwunastoletnim synem Mieczysławem uciekł król do Węgier na dwór Władysława, który tron swój jemu zawdzięczał. Tu uraził dumą swoją i pychę Węgrów i zmuszony do ustąpienia udał się prawdopodobnie do klasztoru na Ossoje (Ossiach), gdzie 1082 życie zakończył.

* * *

Na ucieczce Bolesława do Węgier i na przybyciu jego do węgierskiego Władysława kończą się historyczne daty, których brak nam co do dalszych losów króla wygnanego. Podróż jego do Rzymu, przybycie do Ossoje, pobyt tam i śmierć w klasztorze należą do historycznych legend i przypuszczeń, opartych na znacznie późniejszych i niezbyt wiarogodnych źródłach. Spółczesnych



Opat Gröblacher, autor „Annales Ossiacenses.“

dokumentów, dowodzących, że Bolesław zakończył żywot w klasztorze Ossoje, nie posiadamy zgola żadnych.

Nie brak między naszymi historykami takich, którzy odrzucają ową legendę o Ossoje. Oswald Balcer w znakomitem swym dziele p. t. „Genealogia Piastów“, poddaje rzeczone podanie ścisłej krytyce i podnosi wszystko, co przemawia przeciw domniemaniom historyków z XVI wieku o tułaczce Bolesława w Karyntyi. Wykazuje, że Kadłubek nie wie o Ossoje, podając, że Bolesław umarł na Węgrzech, że Kronika Wielkopolska każe Bolesławowi umrzeć na obląd umysłowy, inni zaś, że go psy zagryzły na polowaniu, i że dopiero Jan Dąbrówka w XV w., Miechowita zaś Decyusz w XVI wieku z niewiadomo jakiego źródła cytują Ossoje jako miejsce śmierci Bolesława.

Wytworny sąd Balcera nie może jednak obalić tradycji, która utrzymała się przez wieki.



Tablica z herbami opactwa.

Trudno również przypuścić, aby Miechowita, jak i współczesny mu niemal opat Gröblacher, wiadomości o zgonie Bolesława w Ossoje z palca wyssali. To też prawie wszyscy nasi i obcy badacze dziejowi zgadzają się na to, że legendy owe są

co do swej treści prawdopodobnymi, i że domysł o śmierci króla w Ossoje za fakt historyczny uznać należy.

* * *

Za opata Tenchona (Tenzona) zgłosił się do opactwa w Ossoje pielgrzym o szlachetnej postaci i rycerskiej postawie. Dał do zrozumienia opatowi gestami, że jest niemy, i prosił go o przytułek. Opat ofiarował mu zajęcie pomocnika kuchennego. Król Bolesław przyjął to, nosił wodę, rąbał drzewo i zamiętał klasztor. Przed śmiercią odkrył dopiero opatowi tajemnicę, że jest polskim królem, i na dowód tego oddał mu pierścień monarszy, który nosił na szyi. Umarł ze słowami na ustach: „Cel mój spełniony. W rocznicę śmierci świętego męczennika, którego zabiłem, oddaję Bogu ducha. Widziałem dziś biskupa Stanisława we śnie, wołał mnie do nieba. Idę już... idę...“ Nazajutrz skonał otoczony braćmi zakonnymi.

Opat Zacharyasz Gröblacher napisał kronikę koryncką w XVI stuleciu, w której o naszym tułaczku czytamy:

1072. Tenzo opat był przełożonym klasztoru.

1084. W tym roku Bolesław król polski porzucił królestwo swe i po odbytej ośmioletniej pokucie umarł.

W tejże kronice jest wiersz o Bolesławie:

*Rex homicida ego sum, perfugus et scelere dives,
Hic latui, luxi deplorans facinus audax,
Ne tamen admissum scelere (ob crimen coelestis)
[vindictet ultor,
Sanguine purpureo tingentem sidera coeli (Olimpi),
Te, Stanislae, peto sedantis (rogo precantis) advoca
[causam,*

Polonum quesens hac, me versurus eas.
(Królem mężobójcą ja jestem, zbiegłym i bogatym
[w zbrodni,

Tutaj ukrywałem się, cierpiełem oplakując uczynek
[zuchwały,

Ażeby mię zaś za popełnioną zbrodnię nie karał
[mściciel,

Krwia purpurową broczącego gwiazdy niebieskie,
Ciebie, Stanisławie, proszę upokorzonego sprawę
[broń,

Jako Polaka proszę, przyjdź odwróć ją ode mnie).

Nasze średniowieczne, choć nie współczesne źródła również podają Ossoje jako miejsce zgonu Bolesława.

Jan Dąbrówka, glosator kroniki Wincentego w początkach XV wieku notuje podanie, że Bolesław w Ossoje na pokucie zakończył żywot, że na grobie jego tam jest napis: „Hic jacet Boleslaus, rex Poloniae, occisor sancti Stanislai, episcopi Cracoviensis“ *).

Kuczborski, który, towarzysząc Hozyuszowi do Rzymu, był w Ossoje, widział ten kamień grobowy i odczytał wykuty na nim napis.

W wieku XVIII na ścianie kościelnej umieszczono tam portret króla w całej postaci, w pełnej zbroi, a wokoło niego obrazy, wystawiające: Świętego, który upomina króla, odprawia modły za niego, zabójstwo biskupa, króla uciekającego po zbrodni, zgon jego i pogrzeb. Pod obrazem był napis: „Boleslaus rex anno 1089“ i wiersz:

*Occidit, Roman pergit,
Placet Ossyach illi.
Ignotus servit, notus pie
Lumina claudit Ossyach,
Hic tibi placet, Stanislae,
Tyrranum, mitem quem factum
Celestibus intulit astris.*

(Zabił, do Rzymu idzie,
Podoba mu się Ossyach.
Nieznany służył, poznany z Bogiem
Zamknął oczy w Ossyach

*) Dąbrówka zapewne grobowca Bolesławowego sam nie oglądał. Na tablicy w Ossoje, która przetrwała do dziś dnia, niema wcale słów: *Hic jacet*, lecz odrazu: *Boleslaus etc.* (Przyp. aut.)

Tu tobie podoba się, Stanisławie,
Tyrana upokorzonego
Do gwiazd niebieskich podnieść).

Tyle mówią legendy, zanotowane w źródłach polskich i ossojskich.

W roku 1230 otwierano grób Bolesława, znaleziono w nim szczątki szkieletu i metalową, grubo złożoną spinę do płaszcza.

* * *

Nowe Ossoje (w odległości dwóch kilometrów od opactwa leży wieś Stare Ossoje, Alt Os-siach) jest to wioska, złożona z kilku zaledwie domostw, zgermanizowana dziś zupełnie. W szkole uczą tylko po niemiecku, a kazanie kościelne wygłasza proboszcz tylko w języku niemieckim. Słowianie tu wymarli, lub wynarodowili się, czego dowodem są pomniki naokoło kościoła w Ossoje, na których czytamy słowiańskie nazwiska: Wieltschnig, Matschnig, Galob, Klementsic, Kappitsch, Supik.

Pół mili od Ossoje mieszka już ludność słowiańska, zniemczenie zaś Ossoje przypisać należy stosunkom ludności z opactwem, którego księży i bracia mają w metrykach i spisach nazwiska przeważnie niemieckie.

Na małym, od strony jeziora dość stromym wzgórzu wznoszą się mury warownego niegdyś opactwa, które przetrwały do dziś dnia. Budowane są w charakterystyczne czworoboki, zamykające duże podwórce, obwarowane w narożnikach obronnymi basztami. W zewnętrznych murach do dziś dnia widać strzelnice. Stare opactwo i wszystkie jego mury przetrwały dotychczas, choć przebudowane są i przeznaczone nie do poznania. Bramy i dziedzińce noszą charakter baroka i rokoka, a na jednej z nich czytamy datę 1710, upamiętniającą ostatnią widać restaurację murów.

Na głównym, obszernym, czworokątnym podwórzu pozostały dwa zegary słoneczne, które przetrwały przeróbki i przebudowania.

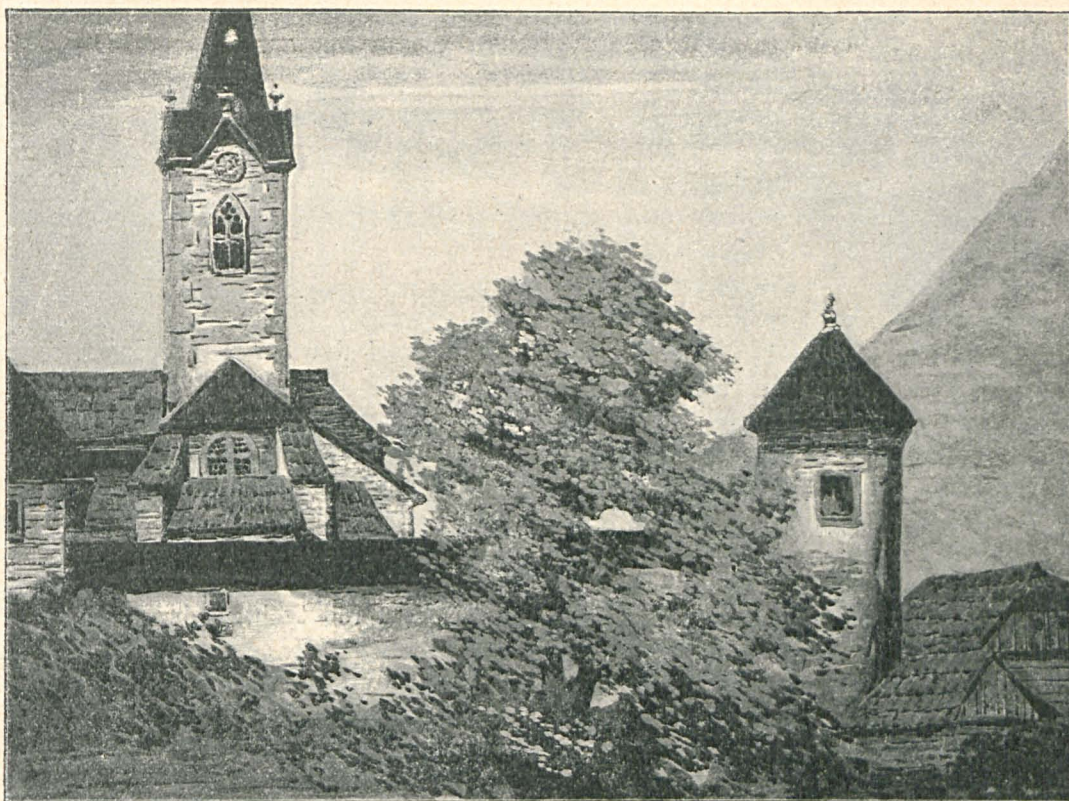
Wszystkie mury opactwa są dziś zamieszkałe. Jest w nich dziś szkoła, poczta i urząd parafialny. Wśród zabudowań klasztornych, na dwadzieścia może kroków od brzegów jeziora, na staro-cmentarzysku wznoszą się mury odwiecznego kościoła ossojskiego.

Tak jak mury opactwa, jest i on przebudowany i przerobiony, skutkiem zapewne pożarów i innych klęsk elementarnych. Jeśli tu co zostało z dawnego romańskiego kościoła, to chyba mury po wysokości dachu. Wewnątrz nie różni się on niczem od niemieckich wiejskich i małopolskich kościołów. Sklepienia ubrane są sztukaterią w stylu rokoka, na powale malowidła, co najwyżej zeszłowieczne, ołtarze ciężkie barokowe lub bezstylowe zupełnie.

Najstarszą częścią dzisiejszego kościoła jest przybudowana od strony północy-zachodniej gotycka kaplica, nieosobliwa stylem lub budową na zewnątrz, zawierająca zaś wewnątrz nadzwyczaj charakterystyczny drewniany tryptyk z czasów późnego gotyku.

Mniemam, że środek ołtarza jest dziełem dłota innego rzeźbiarza, niż jego skrzydła. Figury środkowe są ciężkie, niezgrabne i rzemieślnicze, gdy reliefy na skrzydłach mają ogromnie wiele stylu, zacięcia estetycznego i poczucia typu. Na zewnętrznej stronie skrzydeł szafy ołtarzowej są gotyckie, bardzo zajmujące malowidła: u góry oryginalne z XVI, lub nawet XV wieku, u dołu lichą klejową farbą przemalowane zapewne niedawno temu. Cały ten piękny ołtarz jest w okropnym stanie, gnije w wilgoci, farba odpada, a jeśli komitet kościelny nie pomyśli o szybkiej jego restauracji, pójdzie na marne.

Pokazuje się z tego, że nietylko my obojętnym okiem patrzymy, gdy wiele dzieł sztuki i za-



Widok kościoła i murów fortecznych w Ossojach.

bytków przeszłości marnie w oczach naszych ginie.

Oprócz tryptyku, jedynie zajmującą i uwagi godną osobliwość w dzisiejszym kościele są prześliczne nagrobki opatów ossojskich. Jest ich kilka wmurowanych w podłogę kościelną, kilka zaś ubiera ściany kościoła i kaplicy gotyckiej. Są to winiety marmurowe, wykonane nierzadko przepysznie. Na ziemi leży relief Edmunda Iblbachera, opata, zmarłego 1725, Krzysztofora z 1682 i Fryderyka Hirschpergera z r. 1656.

Na ścianie kościelnej widać postać Michała Haleuperga 1532, w kaplicy zaś—Zygmunta Frischa zmarłego w r. 1556.

Mistrzowsko wykuł artysta z marmuru opata Kacpra, zmarłego w 1500, w którego sąsiedztwie wmurowany jest Andrzej Hasenperger z r. 1555 i Kasper Rainer 1587.

Obok gotyckiego tryptyku spoczywa opat Groblacher, autor „Annales ossiaciensis,” w których opisane są ostatnie chwile naszego króla wygnança, i wiersz, upamiętniający pokutę jego, u stóp zaś tego pomnika widać na podłodze mocno wytarty napis gotycki, na którym czytamy słowo „Niklas“ (?) i datę 1400. W rogu kaplicy leży ogromna płyta kamienna z przymocowanymi do niej żelaznymi kółkami i napisem:

Tu odpoczynek mój na wieki
Tu mieszkać będę
Bo to miejsce wybrałem 1555.

Jest to zejście do starożytnych grobów pod kościołem, gdzie leżą bracia możnego niegdyś i potężnego opactwa.

DN



Preludium jesienne.



Słyszę ogromną pieśń harfianą,
Przesmutną pieśń...

Posępne, szare wstaje rano;

W powietrzu czuć wilgotną pleśń...

Przejęte wskroś zadumy ciszą,

Rytmicznie gaje się kołyszą—

Słyszę ogromną pieśń harfianą,

Przesmutną pieśń...

Sen to, czy jawa?... W mrocznej niszce,
We wnętrzu granitowej skały,
Gdzie tylko blade lśnią kryształki,
I chłodnym tchnieniem pustka dyszy—
Duchów tajemny zasiadł tłum...

Bez ruchu siedzą i bez słowa,
Posępne, blade, ciche mary,
I dzwonią w harfy i cytary,—
A w dal ulata pieśń echowa,
Jak wiatru jęk, jak liści szum,
Jak szum...

Sen to, czy jawa?... Ścieżką leśną
Poważnie orszak dziwny kroczy:
Postacie w płaszczach z mgły przezroczy
Idą, wpatrzone w dal bezkreśną,
W błękitną i тумanną dal...

A w tajemniczym owym gronie,
Wysmukła, wiotka i powiewna
Rusalka dąży, czy królewna:
Kalina jej uwieńczy skronie,
A w oczach żal, bezbrzeżny żal,
I beznadziejny żal...

A pieśń, jak wielkich, ciężkich łez kaskada,
Po drzew gałęziach szmerze wciąż i dzwoni
I na dziewiczej białości skroni
Perłami spada...

Echo po całym roznosi ją lesie,
Smutkiem jej chłodne przesyła tumany,
A las, boleśnie rozelkany,
Ku ziemi gnie się...

Posępne, szare wstaje rano;
W powietrzu czuć wilgotną pleśń...
Przedem puste niw rozłogi,
Samotne krzyże, czarne brogi...

Słyszę ogromną pieśń harfianą,
Przesmutną pieśń...

LEON RYGIER.

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

20.)



Chciał ruszyć się i wybiedz z kościoła, gdy wtem ujrzał przed sobą postać księdza Nawoja.

Po wyjściu Jadwigi, ksiądz zdumiony i przerażony tym ponownym buntem królowej, która już uspokojoną się być zdawała, modlił się długo a gorąco przed krzyżem, z wyciągniętymi ku niebu ramionami. A gdy wstał, spostrzegł nagle Jagiełłę, ukrytego w cieniu, wtłoczonego we framugę muru. Patrzył na niego długi moment, odgadując bez trudu, jakie myśli gnębiły tę napół jeszcze dziką, napół zaledwie nawróconą, ale dobrą i szlachetną duszę.

Zbliżył się z wolna i, oddawszy pokłon, mówić począł, zrazu szeptem, a potem coraz silniej, z coraz większym zapalem.

— Miej cierpliwość, królu miłościwy — błagał w końcu. — Dopełnij tego, czego Bóg domaga się od ciebie i ku czemu cię wybrał... dopełnij Chrztu i nawrócenia Litwy, a nawróci się i skłoni ku tobie serce, dziś jeszcze odporne, naszej królowej, a otoczy cię wdzięcznością i miłowaniem naród cały, imię zaś twoje opromieni niepożyta sława!...

Jagiełło słuchał, nie przerywając. Słowa Nawoja poruszyły go i przynosiły ukojenie... Były pełne czci a zarazem siły; wskazywały drogę ku zdobyciu tego, czego on jedynie pragnął: sławy i znaczenia w świecie, a w domu miłości Jadwigi... Był jednak nadto jeszcze wzburzony, iżby odrazu poddać się ukojeniu.

— Wysłałem na Litwę — wtrącił szorstko — mnicha waszego Hieronima... on tam już chrzci!...

— Weź krzyż do ręki, królu i panie! — zawołał ksiądz — i co rychlej sam na Litwę idź... W tem zaś świętem dziele niech ci towarzyszy królowa... Natenczas łaska Boża, apostołstwa moc, pojedna was, ułagodzi i połączy!...

Tym razem słowa Nawoja trafiły do głębi.

Władysław drgnął i, chyląc głowę, odparł krótko, ale stanowczo:

— Uczynię tak!...

II.

Królowi, oprócz duchownych z arcybiskupem gnieźnieńskim na czele, towarzyszyły w tej na Litwę wyprawie liczne zastępy najprzedniejszych panów. Więc obok Janusza i Ziemowita Mazowieckich książąt, szedł Konrad Biały, na Oleśnicy śląskiej książę, a dalej Krystyn z Koziegłów i Mikołaj z Osolina kasztelanowie, Zaklika z Międzygórza kanclerz i Mikołaj z Moskorzewa podkanclerzy, Jaśko z Tarnowa i Piotr Kmita, oraz wielu innych panów i rycerzy, wśród których niepoślednie miejsce zajmował pan Gnie-

wosz z Dalewic z nieodstępnym Gryfitą Pawłem.

Orszak królowej niemniej był liczny, a prócz dworzan, komorników i sług, jechały pod wodzą ochmistrzyni niemal wszystkie panny dworskie, w tej zaś liczbie i Reginka, którą królowa nieustannie teraz chciała mieć przy sobie.

A pośród tych, których Jaśko z Tarnowa prowadził z sobą, znalazł się też zgola niespodziewanie Siemko Belza. Przed samą ową wyprawą apostolską powrócił on do Krakowa, zgębiony wielce. Spełniając wolę Reginki, wywiadywał się wszędy o rycerza Bolka, o chłodzie i głodzie zbiegał nietylko okolice Krakowa, lecz za fałszywym idąc śladem aż na Śląsk się zawieruszył, wszędy jednak bez skutku. Dopiero w powrocie, w mogińskim klasztorze OO. Cystersów, Clara Tumba zwanym, trafił na ślad pewniejszy. Z początku milczący mnisi nie mu odkryć nie chcieli, ale w końcu sam opat, człek dobrego serca, widząc jego frasunek, ulitował się i rzekł mu:

— Był tu u nas i siedział długo taki jeden pokutujący rycerzyk... Ano, on się najtwardszej służbie Bożej poświęcił, i niema go już!...

— Dokąd uszedł? powiedzcie, ojcze! — błagał Siemko.

Opat mówić nie chciał, ale w końcu naleganiom uległ i odparł:

— Nie zawrócisz go, młodzianku, z tej drogi, na którą wszedł... i nie dogonisz go... Albowiem on na Litwie jest, kędy razem z naszym pobożnym ojcem Hieronimem poszedł, iżby pogan nawracać i żywot na męczeństwo dać... Poszło z nimi wielu innych światobliwych mnichów i pątników, a pono już stamtąd żaden nie wróci... Zginą, jak owi niegdy pobożni Bracia Mniejsi...

Z tem przybiegł Siemko do Krakowa, ale przed Reginką stawać nie śmiał, albowiem polecenia jej nie spełnił, na Litwę zaś iść nie miał nijakiego sposobu. Biedził się tem wielce, aż wreszcie postanowił do księdza Nawoja pójść i jemu wszystko, jakby na spowiedzi, wyznać. Pamiętał on jego względem siebie surowość i lękał się okrutnie, ale poszedł w przekonaniu, że ksiądz, czyste jego widząc intencje, lepsze dla niego okaże serce i nie potępi za to, iż on, całe o sobie nie myśląc, służyć pragnie Regince i ukojenie jej przynieść.

Nawój słuchał i pilnie patrzył na młodzianka, którego niedawno świeże i pogodne, a teraz zbladłe i posępne oblicze wyraźnie nosiło ślady przebytych udřeceń i trudów. Wysłuchawszy zaś, tak rzekł:

— Sprawiedliwe i niezbadane są wyroki Boże!... Dobrze uczynił ów Bolko, że takiej apostolskiej oddał się służbie, od której odwracać go nie należy... Powiem to Regince.

iżby zaniechała wszelkiej innej myśli, bo ta najlepsza jest, którą on za Bożem natchnieniem powziął... Powiem też i Przecławowi, aby się tem postanowieniem synaczka swego ucieszył i resztę żalu wyrzucił z duszy...

I z tem odprawiał Siemka. Ale ów, całując prawicę księdza, wciąż na niego podnosił swe łagodne, jasne oczy, jakby z zapytaniem, czy prośbą.

Domyślił się Nawój, co to znaczyć miało; domyślił się, iż młodzianek tem rzewnem spojrzeniem błaga, iżby mu było wolno do Reginki się zbliżyć i z nią rozmowę mieć, a może z jej ust podziękowanie usłyszeć za poniesione dla niej trudy. Zakłatało to spojrzenie silnie do serca księdza, ale surowość przemogła.

— Idź z Bogiem, młodzianku — rzekł. — A nie szukaj w życiu nagrody za to, coś dobrego uczynił, ani za swój trud, ani za udřeceń swe... Teraz nie czas o sobie myśleć, ani jak ty dawniej w pieśniach, nieraz grzesznych, rozkoszy szukać... Spełnia się teraz nad nami i pośród nas wielki, całego narodu nawrócenia cud! Iżbyśmy go zaś w pełni dokonali i ujrzeć mogli, mamy mieć serca czyste i wzrok jeno ku niebu zwrócony... Nie pora dziś na pieśni świeckie i ziemskie kochanie... W postach a umartwieniu czekać nam chwili, aż się spełni cud!...

Z głową na piersi pochyloną i zgębionem sercem, wyszedł Siemko od Nawoja. Tak mu się zdało, jakby już był całe na na świecie niepotrzebny, nie mogąc Regince służyć, ani jej pomocnym być. Gdy zaś nadomiar dowiedział się, że królowa z całym swym dworem na Litwę ciągnie, ogarnęła go już po prostu rozpacz. Myśl o niebezpieczeństwach takiej wyprawy, o których mówił w Clara Tumba, a które i Regince zagrozić mogły, w szaleństwo go wprowadzała. Już miał zamiar do księdza Nawoja biedz, do nóg mu upaść i błagać, iżby mu było wolno za wnuczką jego choć z daleka iść, czuwać nad nią i w razie potrzeby bronić, gdy wtem dnia pewnego przyszedł do niego sam Przecław stary. Belza mieszkał podle ratusza w domu konsula Dąbrowy, który mu wujem był.

Gdy wchodził do skromnej izdebki Siemka, na obliczu rycerza znać było głębokie wzruszenie.

— Ksiądz Nawój — rzekł — odkrył mi, jaśko ty, młodzianku, śladem mego Bolka szedł z utrudzeniem niemałym i jakoś ten ślad, a chwalebny, odnalazł... Bogu niech będzie chwała, a tobie, Siemku, dzięki za twoje serce pocziwe!...

Belza do kolan mu się pochylił, a rycerz stary podniósł go i przytulił do piersi, tak mocno i blisko, że Siemko czuł i słyszał, jako w tej piersi silnie kołatało się serce, a wes-

technienia głuche łamały się z tłumionym jękiem i łkaniem, jako tam wrzała sroga burza bólu i rzewności...

Długo milczeli, a wreszcie stary rycerz rzekł:

— Co z sobą, Siemku, poczynasz?

Bełza podniósł na niego smutne oczy:

— Ano, sam teraz nie wiem... Jak wiecie, sierotą jestem; maluczką ojcowiznę w Bełzie mam, którą rządzi pan stryj... Tu mnie przygarnął wujek Dąbrowa... do szkoły nieco chadzałem, a w ratuszu sprawom miejskim się przyglądałem, iżbym panom rajcom pomocą być mógł...

— Jenos ty dotychczas więcej pono zajęty był cytara i układaniem pieśni, niż szkołą lub ratuszem... — ozwał się łagodnie Przecław.

Siemko uśmiechnął się smutnie.

— O, tak! — odparł. — Dobrze mi było na świecie, to pieśni same rodziły się w duszy... Ale teraz, to już nie... Zamilkły one na zawsze... I tak czuję, że mi trzeba daleko iść stąd... w świat...

Głos mu zaszedł łzami, złamał się i ścichł.

A stary rycerz patrzył na niego długo, głową chwiając i tak myślał, że smutek a niedola jak cień za piękną niewiastą najczęściej chadzają, i że owa Reginka, z dobroci chwalone, Bolkowi jego zgubę, a temu oto młodziankowi tęsknotę i utrapienie przyniosła. Przypominał też sobie, jako to on pierwszy przestrogi mu dawał, iżby nie zapatrywał się w gwiazdę, bo jej ku sobie nie ściągnie... Ale mu tego teraz nie rzekł, jeno po namyśle ozwał się:

— Wezwij Pana Jezusa na pomoc i na Litwę idź...

Krew buchnęła do głowy Siemkowi, a oczy zabłysły. Ale wnet głowę pochylił.

— A jakoż to mogę uczynić? — odparł smutnie: — ubogim jest, a do orszaków rycerskich mnie nie przyjmą...

— Czekaj... — przerwał Przecław. — Pan Jaśko z Tarnowa z pięknym poczem tam idzie... U niego zdawna zachowanie mam, słowo mu rzekę, a weźmie cię...

Siemko zaś do kolan mu się rzucił.

— Żywota mi nie starczy, — mówił przez łzy — iżbym się wam wywdzięczyle...

Na to zaś Przecław znów go podniósł, ucisnął i sam do głębi poruszony mówił:

— Wnet mi się wywdzięczysz... Słuchaj jeno, co sprawić masz... Chciałem ja sam na oną wyprawę iść, iżby Bolkowi memu przebaczenie rodzica i więcej niż przebaczenie, bo błogosławieństwo zanieść, ku pokrzepieniu jego dobrych zamysłów. Ale oto niemocen teraz, taka zaś wyprawa nie dla mnie... Na bojowisko, z mieczem w ręku, tobym siedł, i da Bóg pójść, iżby stare kości na polu złożyć, ale na chrzciciela się nie zdał, na Litwinów zaś patrzeć nie lubię... Przeto ty idź... odnajdź Bolka mego i powtórz mu święcie coć mówię, iżby zupełny spokój w sumieniu miał...

Słuchając, Siemko promieniał radością, ale gdy stary rycerz żegnał go już, mówiąc jako wnet do Jaska z Tarnowa idzie, młodzianek posmutniał znowu i rzekł z cicha:

— Nie dozwoli ksiądz Nawój...

Przecław ramionami dźwignął.

— Nie lękaj się — odparł. — Przedstawię

mu, jakom się sam tak rozrządził ku dobru i uspokojeniu sercu...

Tak się tedy stało, iż Siemko Bełza znalazł się w orszaku pana z Tarnowa i pociągnął z całą wyprawą ku Wilnu.

Ale ani czasu podróży długiej i uciążliwej, ani po przybyciu do Wilna, Siemko dojrzeć nie mógł nawet z daleka Reginki. Dwór bowiem niewieści ściśle był odłączony od rycerskich orszaków, a postępowano wśród ciągłych nabożeństw, śpiewów kościelnych, z chorągwiami a krzyżami na czele, jak z procesją. Wśród rycerskich pocztów przestrzegał porządku a karności Mikołaj Toporczyk z Ossolina, wielkiej powagi mąż; w taborze zaś niewieścim ksiądz Wysz, który jako spowiednik królowej, kazania głosił, nakazując modlitwy, posty a umartwienia, zwłaszcza zaś milczenie skupione, iżby w ten sposób sposobić się do przyjęcia najwyższej łaski i pozyskania mocy apostołstwa. W posługach duchownych dopomagali mu liczni w orszaku OO. Franciszkanie.

Królowa od czasu burzliwej rozmowy z księdzem Nawojem zawarła się w milczeniu posępnem. Gdy Jagiełło zażądał, iżby mu towarzyszyła w wyprawie, zgodziła się bez oporu, a nawet z ochotą, i czasu całej podróży innych krzepiła słowem a przykładem. Nie okazała też ani razu po sobie, że ją przerażał ten kraj, wyglądający jak jedna olbrzymia puszcza leśna, usiany mogiłami na cześć różnych bożyszcz pogańskich, który o tej porze zimowej, śniegiem i szronem okryty, zdawał się bezludnym. Zrzadka jeno dostrzedz było można pośród jarów wsie litewskie z nędznych chałup, numami zwanych, złożone. Z nich wybiegali ludzie w skóry przyodziani, przerażeni i przerażający, raczej do zwierząt podobni. Skupiali się na drodze i z wraskiem rozbiegali się w popłochu na widok olbrzymiego taboru, otoczonego zbrojną drużyną, a postępującego zwolna wśród śpiewów nabożnych, szczęku oręża i szelestu chorągwi.

Im bliżej Wilna, tem więcej gromadzących się na drodze ciekawych tłumów, ale widok zawsze równie posępny, urozmaicony nieco olbrzymimi jeziorami, które u brzegów ścięte jeszcze lodem, na głębinach połyskiwały czarną barwą, pod chmurnem, ołowianem niebem.

— Jak tu straszno, jak straszno! — rzekła raz Reginka, która nie odstępowała teraz królowej i w jednej z nią jechała kolebce.

Mówiąc to tuliła się ku niej.

A Jadwiga przygarnęła ją jeszcze bliżej, szepcząc:

— W twojej duszy jasno, to cię przeraża ten mrok i ta dzikość. Nie patrz dokoła, lecz w duszę własną, gdy chcesz mieć blaski...

— Wolę patrzeć na ciebie, Miłościwa Pani... — odparło dziewczę: — tyś jest jasna, jak anioł...

— Nie bluźnij! — żywo przerwała królowa, — jam grzeszna jest.

A mówiąc to, myślała o owym buncie, za który karmił ją tak surowo ksiądz Nawój, grożąc jeszcze cięższymi udręczeniami. Ale cóż nad to, co przeżywała i przebywa, cięższego być mogło? Teraz jednak, wśród ciągłych modłów i nauk pobożnych, dusza jej przepełniała się ogromną skrucą i pokorą. Oblicze

jej stawało się przejrzyste, a wzrok, niemal ciągle wzniesiony ku niebu, nieustannie modlił się Bogu o siłę wytrwania.

Aż wreszcie dnia pewnego stało się jaśniej i w bladych promieniach słońca, które na chwilę z po za chmur wyjrzało, ukazało się oczom Jadwigi Wilno.

Jakby jedna, wielka warownia, oblana dokoła wodą rzeki. Po za nią czerni się bór, a na tem tle wyraźnie widać baszty dwóch zamków i dziwny jakiś gmach, bez dachu jakby z olbrzymich złomów skał utworzony z wysoką u wejścia wieżą. Dalej, dalej, na szerokiej przestrzeni już tylko małe, nędzne chałupy, niby owe numy wiejskie.

Wstrzymał się pochód. Rycerze z koni zsiadli, a arcybiskup Bodzanta zaintonował dziękczynną pieśń, poczem zwróciwszy się ku królowi, który na kolana padł, jemu i całemu klęczącemu orszakowi błogosławił zwolna, drżącą ze wzruszenia prawicą...

Było uroczyste milczenie, poczem ksiądz Wysz mówić począł, przedstawiając, jako w momencie, gdy apostołska wyprawa dotarła już do murów stolicy Litwy, należy myśleć swą i modły zwrócić ku tym, którzy tu pierwsi przed laty światło wiary świętej nieśli i męczeńską zginęli śmiercią...

— Patrzcie! — wołał w uniesieniu: — oto tam, kędy owe olbrzymie skały złomy, tam wznosi się dumnie ołtarz, poświęcony czci pogańskiego bożyszcza Perkuna... Tam oto, kędy owe nędzne lepianki, opodal, tuli się biedny, nędzny klasztorzek pobożnych Braci Mniejszych, którzy tu od lat walczą w imię Krzyża. Dzicz pogańska uciska ich zewsząd. Niedawno jeszcze wielu z nich krwawo mordowano, wielu poprzybijanych do krzyża topiono w tej oto rzece z dzikim okrzykiem: „Pływajcie na tem narzędziu, które nam czcić nakazujecie!“ Ale krew tych męczenników świętych wołała tak silnie do Pana Zastępów, że wyblagała dzisiejszy cud... Oto przeciw Perkunowi, a w imię Świętego Krzyża, idzie dziś nie już mnich ubogi, lecz możny władca, król i najwyższy tej Litwy książę, idzie świątobliwa królowa nasza, i oto niebawem w proch się rozpadną pogańskie bożyszcza, zagaśnie piekielny znicz, a w blaskach prawdziwego światła zajaśnieje krzyż... Oddajmy tedy cześć tej dziś tryumfującej cudownej męczeńskiej krwi!...

Wśród szczęku broni i łoskotu, znów cała drużyna na kolana padła, całując ziemię, uświęconą męczeństwem onych pierwszych apostołów. Poczem arcybiskup Bodzanta powstał i gromkim głosem, wznosząc w górę krzyż, zawołała:

— Idźmy! I niech się stanie światłość!...

— Fiat! fiat! — zerwały się głosy.

III.

Wokoło Wilna gromadziły się tłumy ciekawe, niespokojne, trwożne. Wieść o przybyciu Jagajły sprowadziła je pod mury stolicy, a poruszały z ust do ust obiegające pogłoski, jako sam wielki książę nowej wiary naucza, do przyjęcia chrztu skłania, posłusznych obdarowywa hojnie, a opornym karami grozi, że wreszcie przystąpić ma do zburzenia głównej świątyni Perkuna w stolicy i zagaszenia wieczystego, świętego Ognia. I szły głośnie szmery wśród zbiegających się tłu-



WYJAZD KRÓLA JANA SOBIESKIEGO
Z WILANOWA

Tygodnik ilustrowany.

JÓZEF BRANDT

mów, a oczy, skierowane ku onej świątyni gromowładnego boga, rozszerzał lęk. Dziwowano się, jako kapłani nie podnoszą wrzawy, i że nie wychodzi z ukrycia sam arcykapłan Krewe-Krewejto, aby wezwać lud ku obroń, lub spłonać w rozpacz na ofiarnym stosie.

Tymczasem Jagiełło, zgromadziwszy wokół siebie braci swych i pokrewnych książąt, z nimi i z Bodzantą oraz duchownymi naradzał się długo. Postanowiono przystąpić do zniszczenia świątyni Perkuna i obalenia bożyszcza, iżby w ten sposób widoczny przekonać strwożony i szemrzący lud, jako bogowie pogańscy, i ów najgroźniejszy, nie mają mocy.

Był dzień piątkowy, zwykle przeznaczony ku czci Perkuna i składania mu ofiar, gdy z niższego zamku, położonego u podnóża Turzej góry, i kędy zamieszkiwał król z królową i dworem całym, wyruszyła ogromna procesja ku głośniej świątyni. Lud, który dotychczas miasto, jakby obleżeniem ścisnął, widząc bramy otwarte i zgoła niestrzeżone, wtoczył się teraz do wnętrza i biegł zdyszany ku „świętej łące Swintoroga,” wysokim, kamiennym otoczonej murem. Spoglądano ku wieży, wznoszącej się u wejścia, skąd zwykle Wejdaloci zwoływali na modlitwy i wzywali do składania ofiar. Ale na wieży nie ukazywał się nikt, stojący zaś obok dom Krewe-Krewejty stał otworem, pusty... Ostatni arcykapłan Ginwont na wieść o przybyciu Jagiełły, uszedł na Żmujdz...

W mglistem powietrzu zimowego poranku rozchodziły się rozgłośnie echem nabożne pieśni, ale jęki i wyrzekania tłumów, które ogarniał coraz większy lęk, chwilami głużyły je.

Wkroczone wreszcie do obwodu. Pierwszy szedł arcybiskup Bodzanta z krzyżem w prawicy, w uroczystych szatach; za nim postępował Jagiełło, mając obok siebie Jadwigę. Był bardzo blady, chociaż dawniejsze przesądne przerażenie usiłował zwalczyć. Nauki księdza Wysza zaczynały przenikać do jego umysłu, a chwilami nawet ogarniał go zapal i chęć nawrócenia co rychlej Litwy całej. A jednak mimowolnie zakłatało w nim serce, gdy stanął przed świątynią i podniósł wzrok.

Gajem świętym z jednej strony otoczona, stała cicha i wspinała swą wielkością. Na dwunastu stopniach kamiennych wznosił się ołtarz ogromny, z którego wnętrza pośrodku wyskakiwały w górę jaskrawe płomyki wieczystego ognia. Snadź ostatni kapłan, czy też Wejdalota, uchodząc w nocy, podniecił jeszcze ogień święty i przygotował zapas drew, które obok leżały złożone. Czyniąc to, snadź ufał, że do zniszczenia nie przyjdzie i że gromowładny bóg obronić się zdoła przeciw zamachom świętokradczych rąk. Z tą samą wiarą podnosiły się teraz oczy tłumy, kędy, ponad ołtarzem i górującą nad nim kaplicą, w kamiennej altanie, wznoszącej się wysoko jeszcze ponad mury świątyni stał Perkun. Posąg ogromny z drzewa, o głowie srebrnej z uszami złotymi, z twarzą groźną, pełną złości, okoloną rozwichrzonymi włosami, wśród których widać było ostro zakończone wężyki, niby błyskawice piorunu. Na piersi spadała mu długa, czarna, kędzierzawa bro-

da; w prawicy zaś dzierżył godło swe: błyskawicę piorunu.

Jagiełło podniósł wzrok i już oczu od tego bożyszcza oderwać nie mógł i stał nieruchomy, bardzo blady, gdy tymczasem O. Hieronim, Kameduła, stanawszy na stopniach świątyni, mówić począł do zgromadzonego ludu, wzywając, iżby zbył się lęku, zaprzestał wyrzekać i jęczeć, bo oto za moment przekona się każdy, jako owo bożyszcze jest jeno posągiem z drzewa uczynionym, który nad ludźmi żadnej władzy nie ma, bo ją posiada w całej pełni przebywający w niebiosach i na każdym miejscu. Wszechmogący i Jedyny, Bóg chrześcijański...

A teraz podszedł ku Jagielle arcybiskup Bodzanta i rzekł:

— Miłościwy królu, nadszedł czas... Podnieś prawicę i obal bałwochwalstwo w imię Chrystusa, w którego wierzysz!...

I podawał mu żelazny toporek.

Jagiełło drgnął, jakby ze snu obudzony. Spojrzał na Jadwigę. Ona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Wzrok był bez blasku a sztywny; zdawał się mówić wyraźnie:

— Okaż teraz, że spadła z ciebie skóra poganina! Okaż to, a będę cię wielbiła, jeśli miłować nie mogę...

Gwałtownym ruchem wyrwał Jagiełło toporek z ręki Bodzanty i począł wstępować na stopnie.

Szedł krokiem pewnym, ale zwolna. Tłum zaś po za nim jakby skamieniał. Stała się taka cisza, że słychać było wyraźnie odgłos kroków króla, który szedł ciągle w górę... Już przeszedł stopni dwanaście, minął ołtarz ofiarny i zniknął po za nim...

A gdy zniknął, szal trwogi ogarnął tłum. Poczęto tłoczyć się i krzyżeć, że rycerze zbrojni zaledwie przemocą zdołali utrzymać w karbach cisnącą się gromadę.

Tymczasem z chmurnego nieba zaczęły zsuwać się mgły. Zrywał się wichur, kłębił je lub szerokimi pasmami rozsnuwał, tłoczając ku ziemi. Na chwilę znikła wśród nich Perkuna postać, i wnet ukazała się znowu jego straszna głowa; mgły opadały niżej, niby płaszcem otulały posąg, rozsnuły się na dachu kaplicy i stoczyły kłębami ku ołtarzowi, od wyskakujących stamtąd płomieni czerwone.

— *Dewas! Dewas!* — wrzeszczał tłum, oszalały z trwogi.

Gdy oto nagle, powyżej już kaplicy, ukazała się znowu króla Władysława postać. Zdawało się, że po dalszych schodach, niewidocznych z dołu, szedł rażniej, jakby jakąś tajemną siłą unoszony w górę.

I stała się znowu cisza, wśród której, niby wichur daleki, szumiał i syczał jeden oddech tysiąca zaleknionych piersi...

Jagiełło stanął u szczytu przed samym posągiem. Moment stał nieruchomy, jak gdyby się wahał. I nagle zwrócił się twarzą do ludu. Miał teraz u stóp swoich wijące się rozrzedzone mgły, a nad sobą, ponad groźnym obliczem Perkuna, coraz jaśniejsze niebo. Twarz jego, przedtem tak blada, teraz zdawała się pałać uniesieniem niezwykłym. Głosem gromkim, który donośnem rozszedł się echem, krzyknął:

— W imię Jezusa Krysta, w którego wierzę!...

I zwróciwszy się ku posagowi, jednym silnym zamachem toporka odrąbał Perkunowi prawicę, dzierżącą piorun. Cios był tak gwałtowny, że cały posąg zachwiał się na swej podstawie, a odrąbana ręka potoczyła się z głuchym łoskotem w dół po kamiennych schodach...

Jeden ryk, jedno przerażające wycie rozległo się wokół. Padano twarzą do ziemi, wrzeszcząc w dzikim popłochu:

— *Perkune Dewajte, ne muszk und mana!*

Perkunie, miły boże, nie gódź we mnie!

Tarzano się po ziemi w oczekiwaniu ciosu...

Wrzaski te tłumy zrazu pieśń, którą w chwili zadania Perkunowi ciosu zaintonował arcybiskup Bodzanta. Jeno kiedy niekiedy słychać było hymn, śpiewany przez duchownych i całe polskie rycerstwo:

Bogu rodzica dziewica,
Bogiem sławiona Maria...

Kyrie elejson!

Nas dla wstał z martwych Syn Boży,
Wierzy-ż w to, człowiecze zbożny,
Iż przez trud Bóg swój lud
Odjął diablej strożej...

Tymczasem Jagiełło zeszedł już z wyży-ny i stanął u ofiarnego ołtarza, z którego buchały coraz żywsze płomienie. Naprzeciw króla pośpieszył teraz Bodzanta z gro-nem duchownych, dzwigających kubły napełnione wodą. Podano Jagielle dzban srebrny, a on, zaczerpnawszy nim wody, pierwszy gaszący strumień wlał we wnętrze ołtarza. Płomienie syknęły głośnie, zakolysały się i okryły chmurą dymu, ale za moment znów strzeliły w górę.

A lud przerażony wył ciągle.

Szybko teraz zalewano ogień, który miał płonąć wiecznie, i wkrótce stłumiono go zupełnie; żarzyły się jeszcze chwilę węgle, ale i te wygasły, a z ołtarza ze szmerem ściekała jeno woda mętnymi strugami...

Mgły pierzchły zupełnie. Z rozjaśnionego nieba wyblęśły blade promienie marcowego słońca. Lud zwolna podnosił głowy i z podziwem patrzył na te łagodne blaski, oświetlające okaleczoną postać gromowładnego boga i wygasłe ognisko znicza. Perkun stracił moc... z jasnego nieba żaden grom nie spadał. Wycia i jęki zmilkły, a rozgłośnie wśród ciszy rozbrzmiał znowu pobożny rycerski hymn:

Bogu rodzica dziewica,
Bogiem sławiona Maria,

Kyrie elejson!

Z ostatnich już stopni schodził król. Oblicze miał dziwnie promienne, pełne uroczystej powagi i jakby tchnące radością, że dokonał już czynu, który go mimowolnym dotychczas przejmował lękiem. Wszystkie teraz pogańskie bożyszcza paść muszą, a on czuje w sobie tę apostołstwa łaskę i tę moc, o której mówił mu ksiądz Nawój.

U ostatniego stopnia oczekiwała go Jadwiga. I jej oblicze promieniało radością i ziemskim uniesieniem. Łagodnymi oczyma patrzyła na Jagajllę, który schodził ku niej wśród blasków słonecznych. Wydał się jej

w tym momencie niemal pięknym z tą rozradowaną twarzą, okoloną długimi włosami, które wiatr rozwiewał. On także bystro patrzył na królową, ale w miarę, jak się ku niej zbliżał, wyraz radości znikał. Od owego zajścia w kościele, od czasu, gdy z jej ust usłyszał, jako przez nią tylko jest królem, a zawsze w pogańskiej skórce, nie wyrzekł do niej ni słowa. W ciągu podróży i po przybyciu do Wilna nie zbliżał się zgoła, a tu, na ziemi litewskiej, on czuł się dostojnym panem i władcą, przeto tem dotkliwiej bolały go owe dosłyszane wyrazy i odpychały od dumnej niewiasty, która jeno swój uznawała majestat. Czasem jeno z pod oka spoglądał na nią, zbadać chcąc, jakie wrażenie czyni na wytwornej królowej ten kraj ogromny, w którym wszystko woli jego było uległe, te nieprzebyte bory, te jeziora olbrzymie, jak morza, i ta Gedyminowa stolica warowna. Ale dotychczas z twarzy Jadwigi, zawsze jednako bladej i posępnej, nic wyczytać nie mógł. Dopiero w tym momencie widział ją blisko, rozjaśnioną uniesieniem. Zakolatało w nim serce. Co mu powie ta niewiasta teraz, gdy on spełnił czyn, którym Litwę całą, przez zgruchotanie najwyższego jej boga, oddał w moc Chrystusową? Zali cofnie obelżywe słowa i zechce uznać władzę jego, jako małżonka i króla? Niepewny, stanął przed nią. Ona zaś podeszła i, chyląc kornie aż do jego kolan swą nieugiętą dotychczas głowę, szepnęła:

— Cześć ci, panie mój i królu!...

On zadrżał od stóp do głowy. Więc to było wyraźne i uroczyste cofnięcie tamtych słów, to było uznanie jego mocy nad sobą i w państwie! Duszę zalewała mu niewymowna rozkosz, nie odrzekł wszakże nic, jeno uniósł ku sobie tę pochyloną, umiłowaną głowę i spojrzał w jej oczy, pełne w tym momencie blasku z po za łzawej mgły.

Ale oto ksiądz Bodzanta poświęcił już krzyż wielki, srebrną blachą obity, i teraz szedł znowu z procesją po stopniach ku pogańskiemu ołtarzowi. Wydźwignięto tam krzyż i mocno przytwierdzono u owego ołtarza, a za moment z tego miejsca, kędy spełniano bałwochwalcze ofiary, rozciągnął swe ramiona znak najwyższej, zbawczej Ofiary...

Raz jeszcze zabrzmiały pobożne pieśni, a potem cały orszak królewski wyruszył

w pochód z powrotem do Zamku, tłumy zaś zwolna rozpraszały się, szemrząc.

Zagasło słońce, niebo zasnuło się znów ciężkimi chmurami, a nad wieczorem poczęła padać gęsty śnieg, poczem zapadła noc bardzo czarna.

Po za miastem, kędy koczowały tłumy okolicznego ludu, do późna jednak nie milkła wrzawa. Podnosiły się głosy, wzywające do gromadnej z Litwy ucieczki.

— Wielki książę—wołano—złamał wiarę... nie godzien panować nad nami! A komu panować będzie, gdy my wszyscy wyjdziemy? Znieważył Perkuna... oby on nie pogromił nas za to! Więc nie godzien rządzić! Uchodźmy na Żmujdź lub dalej w świat, a pozostawmy go pomście znieważonych bogów!

Byli jednak inni, zwłaszcza pośród młodszych, którzy opowiadali o hojności wielkiego księcia, o szczodrych darach, które rozdaje chcącym przyjąć wiarę nową, o zapowiedzianych dla nich swobodach, o pięknym białem suknie, przywiezionem z Polski, a przeznaczonem na kaftany chrzestne, wreszcie o karach, które grożono opornym.

— Nie będzie kogo karać, gdy stąd pojedziemy precz!...—wołali pierwsi.

— Dogoni nas wszędy książę!—odpowiadali inni.—Mówią, jako po całym kraju jeździć ma, iżby nasze świątynie burzyć i lud chrzcić!...

I tak toczono głośnie spory w noc późną, przy zapalonych ogniskach, z których biła szeroka łuna, i dymy czarne, wichrem niesione, rozsnuwały się ponad uśpionem miastem.

W mrok i chmury skrył się okaleczający, znieważony Perkun. Tam panowała grobowa cisza, jeno wicher, który zerwał się silny, jęczał, wdzierając się w szczeliny i framugi i miotając śniegiem.

Ku świątyni szedł zwolna, oglądając się ostrożnie, siwowłosy, zgrzybiały starzec. Wiek późny pochylił ku ziemi wyniosłą niegdyś postać Wejdeloty Monwida i nie dozwolił mu uchodzić z Wilna z Gintowtem i innymi. Z kapłanów on jeden na miejscu pozostał.

— Śmierć już niedaleka...—mówił—ostatnie tu... czekać na nią będę.

Gdy wieść się rozeszła, jako Jagiełło sam posąg Perkuna burzyć będzie, Monwid

zawarł się w swoim domku obok świątyni i nie ukazał się już wcale. Legł na gołej ziemi, żadnego pożywienia do ust nie wziął, i tak trzy dni i trzy noce bez spoczynku trwał, otwierając przemocą znużone powieki, w oczekiwaniu nadziemskich widzeń lub objawienia. Ale objawienia żadnego nie było, natomiast zaś usłyszał śpiewy kościelne i szcęk broni i domyślił się, jako nadszedł czas burzenia.

— *Dali Dewu! dali Dewu!* Przebóg!—jęczeć poczęł, i nagle ogarnął go szum ogromny, który zagłuszył wszystko, i zupełna martwota. Czuł, że żyje, ale ruszyć się nie mógł, a czuł także, iż nadchodzi śmierć, że niebawem, za moment może, otworzy się przed nim świat inny, pełen blasku, owa „ziemia wschodnia“, o której on tyle razy opowiadał ludowi, nauczając.

Gdy się ocknął, zaległa noc czarna i głucha. Monwid podniósł się z ziemi i nasłuchiwał. Wszędy cisza, jeno wicher jęczy przeciągle. Może Perkun, mszcząc się, rzucił na świat taką czarną noc i w niej pograżył wszelakie istnienia? Może bóg najwyższy pogromił tych, którzy go znieważać chcieli, i uczynił nad nimi taką pustkę i takie milczenie? Może to on rozpętał tę wichurę, aby zapełniła ciszę swym rozpaczliwym jękiem?

Dźwignął się Monwid z ziemi i na chwiejnych nogach stanął. Dygotał z zimna i lęku, ale zarazem ogarnęła go nieprzemожona chęć zobaczenia tego, co się stało. Przyodział się tedy w długą, ciemną suknię, bramowaną taśmą białą płócienną; spiął białe pętlice sznurkowe na piersiach, przepasał się tejsze barwy pasem płóciennym; na głowę włożył wieniec z liści drzew świętych, a w rękę ujął wysoką laskę, znak swej godności, zakończoną u góry dwoma rozchodzącymi się i w jedną stronę u szczytu dziwnie zagiętymi prętami. Tak wyszedł z domku wprost ku świątyni, jakby dążył ofiary czynić. Dyszał ciężko, oglądając się trwożnie i usiłując wzrokiem przebić ciemności...

Nic! nie stało się nic. Olbrzymi gmach Perkunowy, ocieniony gajem świętym stał nietknięty. Monwid zatrzymał się u stopni i patrzył... Lecz co to? Znicz nie płonie, a ołtarz ofiarny zasłaniają mu wyciągnięte, bielejące w mroku ramiona...

DCN

Stanisław Konarski.

3.)

Co to jaki duch panował w szkole Konarskiego. Zarzucają mu, że jego szkoła miała charakter arystokratyczny: prawda! Tylko „urodzeni“ mieli do niej przystęp; w swej instrukcyi mówi Konarski o szlachetnem i o podłym urodzeniu. Ale nie zapominajmy, jaki główny cel przyświecał jego działalności: przez reformę szkół—reforma państwa, a reformować państwo mogli w owych czasach tylko „urodzeni;“ spodziewał się Konarski, że synowie senatorskich rodzin, wychowani w jego szkole, przyłożą ręki do na-

prawy Rzeczypospolitej. Zresztą dobrodziejstwo prawdziwej oświaty, której hasło i sposób dał pierwszy Konarski, spłynęło nietylko na tę garstkę *nobilium*, którzy się w jego *collegium* kształcili, lecz i na cały kraj: bo zbyt wysoko stanął jego zakład, zbyt wielkie zaufanie rodziców zyskiwał sobie, aby inne szkoły mogły z nim współzawodniczyć, nie dokonawszy gruntownej reformy na wzór Konarskiego. To też za Konarskim inni Pijarzy, za Pijarami—Teatyni, Bazylianie, Jezuici na gwałt zaczęli swoje szkoły przekształcać.

A sprawił to swym przykładem Konarski, który tym sposobem w całym kraju przygotował rolę pod zasiew Komisji edukacyjnej, ten zaś wydał plon niezwykle bujny.

W ścisłym związku z dokonaną przez Konarskiego reformą szkół pozostaje zapoczątkowanie reformy skażonego smaku estetycznego, który swój najjaskrawszy wyraz znalazł w napuszonosci i nienaturalności stylu—zarówno w poezyi, jak w prozie, zwłaszcza w wymowie. Nie uszło to uwagi niektórych autorów naszych już w XVII wieku.

Opaliński w Satyrach piorunuje na bezsensowność mów, jakie uczniowie uczą się wygłaszać, a Stanisław Herakliusz Lubomirski w „Rozmowach Artaxesa i Ewandra“ powiada: „Cudowna to rzecz, że ci ludzie nie mogą żadną miarą przestać tego stylu *szkolnego*, tych makaroniuszów niepotrzebnych!“ Ale ani te, ani inne głosy nie sprawiły nic: ani Opaliński, ani Lubomirski nie byli nauczycielami, nie posiadali więc bezpośredniego wpływu na szkoły, z których to właśnie płynęło zepsucie smaku i stylu. Konarski był nauczycielem i kierownikiem szkół, jako prowincyał Pijarów, to też jego protest musiał coś sprawić. Już obznajmianie uczniów z utworami klasycznej literatury francuskiej nie mogło nie przyczynić się do poprawy smaku. Teoretycznie zaś zwalczał Konarski zepsucie stylu w rozprawie łacińskiej: *De emendandis eloquentiae vitiis* (O potrzebie poprawy wad wymowy), w której surowej poddaje krytyce różne utwory literackie, osobiście panegyryki (nie wyłączając swoich własnych z lat młodości), uderzając na wszystko, co sztuczne, nienaturalne, przesadne, a żądając od wymowy i wogóle od stylu przede wszystkim prostoty i naturalności. Książka ta sprawiła dość wielkie wrażenie, co widać choćby z tego, że Jezuici (Wieruszewski, Malczewski) ostro na Konarskiego napadli, zarzucając mu, że on to właśnie chce zepsuć wymowę: tak dalece zatracono poczucie dobrego smaku! Zresztą sam Konarski w praktyce zbyt wiele smaku nie wykazał; nie można za to odmówić jego odom łacińskim zacnej myśli, a w „Tragedyi Epaminondy“, oprócz rozumnej i szlachetnej tendencji obywatelskiej, wyraźne jest dążenie do prostoty języka. Jest to „sztuka szkolna“, przeznaczona do teatru szkolnego w *Collegium nobilium*, a więc można ją uważać za pierwszą próbę wyrugowania bezsensownych dyalogów szkolnych, jakimi dawniej, zwłaszcza w szkołach jezuickich, raczono młodzież. Rozpatrywany zaś jako tragedia (choć na to miano nie zasługuje), jest u nas ten utwór pierwszą *oryginalną* próbą dramatu pseudoklasycznego, opartego na wzorach francuskich *), gdyż chronologicznie wyprzedził nie o wiele lepsze tragedye Wacława Rzewuskiego. Tak więc i tutaj jest Konarski inicjatorem nowego kierunku w literaturze.

W porównaniu z ogromem zasług, jakie Konarski położył w sprawie oświaty naszej i naprawy smaku, jego zasługi, położone na polu literatury politycznej i naprawy pań-

stwa, są mniejsze, a przynajmniej nie tak *skuteczne*, z czego jednak bynajmniej nie wypływa, aby one miały być małe. „Konrad Wallenrod“ nie traci nic ze swej wielkości pomimo istnienia „Pana Tadeusza“, a „Kazanie Skargi“ nie odbierze blasku „Hołdowi pruskiemu“, ani „Bitwie pod Grunwaldem“, tak samo założenie *Collegium nobilium* i reforma szkół pijarskich nie mogą zmniejszyć doniosłości wywodów i myśli w dziele „O skutecznym rad sposobie.“

Nie jest to pierwsze pismo polityczne



Stanisław Konarski (według współczesnej litografii).
Ze zbiorów ks. St. Biegańskiego.

Konarskiego; już w poprzednich staje przed nami autor, jako niepospolity pisarz, w którym bystry zmysł polityczny, trzeźwość myśli, głęboka znajomość społeczeństwa, państwa, jego historii i prawodawstwa („Rozmowa ziemianina z sąsiadem“) walczą o lepsze z przywiązaniem do kraju i z uczuciem godności narodowej („Prawdziwe racje cudzoziemców, oponujących się Najjaśniejszemu Stanisławowi“ i „Epistolae familiares“). Ale swą nieśmiertelną sławę w historii naszej myśli politycznej zawdzięcza Konarski nie tym dziełom, lecz „Skutecznemu sposobowi rad.“

Przy czytaniu długich czterech części dzieła duszą dzisiejszego czytelnika miotają sprzeczne uczucia: z jednej strony wstyd i ból, z drugiej duma i radość. Wstyd ogarnia na myśl, jak ciemnem musiało być społeczeństwo, które nie rozumiało, któremu trzeba było długo i szeroko dowodzić, że dwa razy dwa jest cztery, albo że ogień parzy; serce boli, kiedy się stąd wyprowadzi wniosek, że ono było dotknięte widocznie ciężką chorobą umysłową. Ale duma napawa serce na wspomnienie, że wśród owego społeczeństwa znalazł się zacny i rozumny lekarz, który, zbrojny w świętą zasadę: „aleć i grzech jest ciężki i nigdy nie godzi się desperować“—nie desperował i przystąpił do łóżka chorego,

aby go uleczyć. A kiedy się wie, że chory wstał, a przynajmniej powoli wstawać zaczął, to w sercu zakwita radość; do zupełnego zdrowia nie doszedł?—prawda! ale to już nie Konarskiego, a i nie chorego winą: samobójstwa nie było...

Rdzeń wiekopomnego dzieła „O skutecznym rad sposobie“ stanowi walka z *liberum veto*. Całe rozumowanie dałoby się sprowadzić do trzech sylogizmów:

Podstawą państwa jest władza i rząd;

W Polsce jedyną władzą i jedynym rządem jest sejm,

a zatem:

Podstawą Polski jest sejm.

Aby sejm mógł być podstawą państwa, władzą i rządem, musi odbywać się porządnie, musi przede wszystkim *wogóle być*, dochodzić do skutku;

a zatem:

W Polsce sejmy powinny odbywać się porządnie, muszą przede wszystkim dochodzić do skutku;

W Polsce sejmy nie odbywają się porządnie, a nawet nie dochodzą do skutku, czego przyczyną jest *liberum veto*;

a zatem:

Librium veto należy znieść, inaczej Polska przestanie być państwem.

Rozumowanie to jest, zdaje się, tak proste, tak jasne, wniosek tak oczywisty, że dziś każdyby zapytał autora: „Po co i na co to wszystko? po co dowodzić, że ogień parzy, kiedy o tem wiemy wszyscy?“

Tak! ale wówczas nie wszyscy wiedzieli, a raczej wiedział mało kto, trzeba zaś było, aby wiedzieli wszyscy.

Więc każdą przesłankę, każdy poszczególny wniosek musiał wyjaśniać Konarski, dowodzić ich prawdy za pomocą całej baterii dowodów logicznych, przykładów historycznych, porównań i zestawień. I z tego zadania wywiązał się, jak nie można lepiej i skuteczniej: w opinii publicznej *liberum veto* zadrzało w swych posadach, póki wreszcie nie runęło na Sejmie Czteroletnim. Jak dokonana reforma szkół pijarskich jest wspólnym prologiem do błogosławionej działalności Komisji edukacyjnej, tak projektowana reforma państwa jest wstępem do działalności Sejmu Czteroletniego, bo nietylko znosząc *liberum veto*, ale i ograniczając władzę hetmańską (minister *Consilii Bellici*), reorganizując senat i t. d., nawet zlekka dotykając sprawy zniesienia elekcji i zaprowadzenia tronu dziedzicznego, jest ta reforma pierwszym, bo bez porównania zupełniejszym, niż reforma Karwickiego i Leszczyńskiego, wyrazem tych zasad i poglądów, które niebawem miały doprowadzić do radykalnego przekształcenia prawodawstwa.

Oto są główne, choć nie jedyne, zasługi Konarskiego.

IGNACY CHRZANOWSKI.



*) Zależność „Tragedyi Epaminondy“ od wzorów francuskich nie ulega wątpliwości; warto jednak zaznaczyć, że „jedności miejsca“ nie przestrzegał Konarski: widownią aktu I jest przysiółek, II—„las z terminatywą morza“, III—ogród, IV—naprzód izba, potem więzienie, V—sala posiedzeń sądowych; a tak ta pierwsza oryginalna próba polskiego dramatu pseudoklasycznego łamie (ze świadomością, czy bez świadomości autora) francuskie reguły estetyczne.

Józef Jerzy Boguski.

Swieżo odbył się w Warszawie obchód jubileuszowy, tak skromny i cichy, że podobne jemu... bardzo rzadko się w dzisiejszych czasach zdarzają. Minęło 25 lat od czasu, kiedy J. J. Boguski rozpoczął pracę w zakresie wiedzy ścisłej, i z tego powodu szczupłe koło przyjaciół i towarzyszy pracy złożyło jubilatowi swoje życzenia.

Może być, że się mylimy, ale wydaje się nam, że dla wielu czytelników naszych nazwisko J. J. Boguskiego niewiele lub zupełnie nie jest znane. Istotnie, p. Boguski nie miał nigdy i nie ma tego, co nazywamy sławą rozgłosną. Znają go wprawdzie i pamiętają studenci-przyrodnicy, którzy studiowali w uniwersytecie petersburskim w okresie 1875—1879 r.; znają i wysoce poważają ci, którzy pracowali pod jego kierunkiem w laboratorium fizycznym przy Muzeum Przemysłu; kochają go uczniowie, słuchała go nieraz publiczność, uczęszczająca na odczyty naukowe, ale wogóle imię to posiada rozgłos w szczupłych stosunkowo kołach naukowych, wśród ludzi, którzy obeznani są dokładnie ze stanem i postępami wiedzy przyrodniczej, specjalnie w zakresie chemii i fizyki.

A tymczasem prof. Boguski jest jedną z najwybitniejszych jednostek w naszym społeczeństwie, znakomitym specjalistą, uczonym, człowiekiem o znaczości i prawości niepospolitej. Godzi się więc przypomnieć obecnie, kim on jest i co zdołał.

Józef Jerzy Boguski urodził się w Warszawie w r. 1853. Po ukończeniu szkół średnich wstąpił w r. 1871 na sekcję nauk przyrodniczych fakultetu fizyko-matematycznego w uniwersytecie warszawskim.

Jako student, jubilat dzisiejszy wyróżniał się zdolnościami niezwykłymi; ze szczególnem zamiłowaniem pracując nad chemią, napisał podówczas rozprawę konkursową „O budowie związków aromatycznych“ i uzyskał za nią medal złoty. Już przy pierwszych krokach na drodze badań samodzielnych, J. Boguski ujawniał cechy nader ważne dla przyrodnika: niepospolitą szybkość orientowania się w szczegółach, nieubłaganą logikę w dowodzeniu i stawianiu tezy, sumienność i dokładność w pracy, głębokość sądu. Cechy te z biegiem czasu potęgowały się jeszcze i sprawiły, że wszystkie prace Boguskiego są ścisłe, jasne w dowodzeniu, logiczne w najdrobniejszych szczegółach: niema tam wniosków niepewnych lub mylnych.

Po ukończeniu studiów w Warszawie ze stopniem kandydata nauk przyrodniczych, J. J. Boguski w roku 1875 otrzymuje zaszczytne stanowisko asystenta przy katedrze chemii w uniwersytecie petersburskim, gdzie podówczas już wykładał słynny prof. Mendelejew. Asystentem jego p. Boguski był przez 3 lata, poczem rzucił to stanowisko i przeniósł się do Warszawy z powrotem, i tu rozpoczął mozolny zawód nauczyciela w szkołach prywatnych. Jednocześnie nie zaniedbywał ani na chwilę umiłowanych badań naukowych i co pewien czas ogłaszał ich wyniki: są to badania z zakresu chemii fizycznej i fizyki; czytelnik znajdzie je w specjalnym wydawnictwie p. t. „Prace matematyczno-fizyczne.“ Każda z tych prac J. J. Boguskiego przynosi nowe zdobycze wiedzy.

Nie możemy też przemilczeć na tem miejscu o wynalazkach jubilata, zwłaszcza o jednym z nich, który imię jego uczynił znanym w Europie uczonych. Oto w r. 1882 J. Boguski wynalazł nowy sposób otrzymywania aluminium za pomocą elektrolizy, sposób sprowadzający przewrót w tym

przemysle. Nie znajdując na swój wynalazek nabywcy w kraju, p. Boguski sprzedał go za granicę, do Ameryki (Lockport nad Niagarą) firmie Cowles and Comp. Electrical Furnace.

W roku 1888 Boguski objął kierownictwo pracowni fizycznej przy Muzeum przemysłu i rol-



Józef Jerzy Boguski.

Fot. J. Golez.

nictwa. Z laboratorium tego wyszła niejedna praca znakomita. Podówczas to przeprowadził Boguski ważne badania nad szybkością reakcji chemicznych, nad przewodnictwem elektrycznym czterotlenku azotu w stosunku do temperatury, nad rozszerzalnością cieczy i t. d., i t. d.

Oprócz wielu dzieł oryginalnych („Wstęp do elektrotechniki“, „Najnowsze odkrycia w dziedzinie fizyki“, „Ks. Hugo Kołłątaj jako przyrodnik“ i w. in.), Boguski jest tłumaczem najwybitniejszych rozpraw i dzieł naukowych autorów obcych. Tłumaczył Daniellę, Wurza, Du Bois Reymonda, Everetta, Thompsona, wypełniając w ten sposób znakomicie luki naukowego piśmiennictwa polskiego.

Nadto jubilat nasz jest doskonałym pedagogiem i świetnym popularyzatorem nauk fizyko-chemicznych.

Zajęcia pedagogiczne nie przeszkadzają jednak Boguskiemu drukować prac specjalnych w „Comptes rendus“ Akademii Paryskiej, w „Rozprawach“ Akademii Krakowskiej i w innych czasopismach naukowych zagranicznych.



Nasze ryciny.



Antoni Kamiński: Anastazy. Rysunek ten jest reprodukcją ze studium Antoniego Kamińskiego. Z modelu, który nie odznacza się klasyczną piękną rysów, z twarzy i postaci pospolitej zrobił artysta prawdziwe arcydzieło charakterystyki. W spojrzeniu, oczach, w wyrazie nieco wydatnych ust widać duszę. Czuć, że pod tem wązkiem czołem rozgrywa się jakiś dramat psychiczny. Ta

prosta dziewczyna myśli o czemś, pragnie czegoś, cierpi może i buntuje się wewnątrz, przeciwko czemuś. Ta pojedyncza figura pochłania uwagę widza stokroć silniej od niejednej wielkiej kompozycji—tyle wyrazu wlał rysownik w twarz napoły dziecinna.

Józef Brandt: Wyjazd króla Jana Sobieskiego.

Każdy z czytelników naszych bez wątpienia od pierwszego rzutu oka pozna, gdzie odbywa się akcja tego obrazu. Jako tło bowiem występuje tu jedna z najpiękniejszych i najsympatyczniejszych budowli naszych: pałac w Wilanowie. Samą akcją tylko artysta cofnął o dwa stulecia wstecz i wystawił jedną z tych chwil, kiedy w pałacu owym rezydował król Jan Sobieski. Dany moment wyobraża wyjazd króla Jana z Wilanowa. Na dziedzińcu obszernym ruch panuje ogromny, roi się od pojazdów, rycerzy, dygnitarzy królewskich, wojska konnego i pieszego. Tłumy te tworzą dwa szpalery, a w pośrodku widać wspaniałą orszak królewski, otoczony switą, rycerstwem i dygnitarzami. We wspaniałej kolonie siedzi para królewska: Jan III i królowa „Marysieńka.“ Obraz ten, pełen światła, ruchu, barw sprawia wrażenie niepospolite. Cechy znamienne epoki prof. Brandt również zachował z sumiennością wielką: kostiumy, cała strona dekoracyjna traktowana jest doskonale.

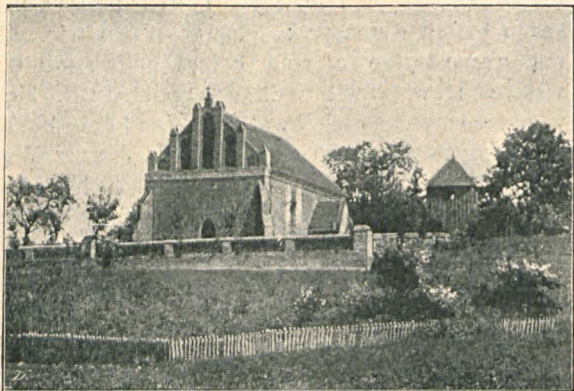
Zamek i kościół we wsi Radzikach Wielkich.

Do rzędu bardzo starożytnych a ciekawych miejscowości w kraju naszym należy niezaprzeczenie wieś Radziki Wielkie w gubernii Płockiej, powiecie Rypińskim. Początek tej wsi sięga r. 1300, kiedy przez właściciela Poraja był zbudowany zamek obronny i kościółek niewielki. Kościółek przechował się w całości do dni naszych, z zamku zaś pozostały ruiny malownicze. Wizerunki tych zabytków starożytnych podajemy właśnie w numerze obecnym. Zamek nosi nazwę Grabowiec. Dziś pozostały z niego mury omszałe, lecz ongi kipiało w nim życie. Nad ruiną krąży też do dziś dnia podanie ludowe, które tutaj powtarzamy w skróceniu. Pierwszy dziedzic zamku—opiewa legenda—miał dwóch synów, Bolesława i Konrada. Bolesław był dobry, Konrad zaś z na-



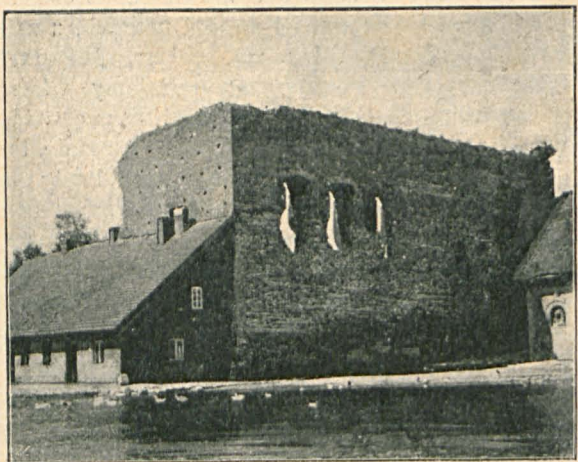
Brama w Rypinie.

tury miał złe skłonności, i dlatego między braćmi panowała niezgoda. Ojciec, stary Poraj, rozłączył tedy synów i Konrada wysłał do brata swego, do ziemi Chełmińskiej. Stamtąd wuj Konrada wysłał go na naukę do Malborka, stolicy krzyżackiej. Tam, pod kierunkiem nauczycieli krzyżackich, Konrad rozwinął jeszcze silniej złe instynkty i zniechęcił się do ziemi rodzinnej i swoich. Wielki mistrz zakonu liczył na niego, jak na sprzymierzeńca i ży-



Kościół w Radzikach Wielkich.

wioł wicherzący w Polsce. Przed śmiercią ojciec wezwał Konrada do domu, ale bracia nie mogli się pogodzić. Poraj tedy kazał zbudować opodal od Radzik nową wieś i wolą ostatnią przekazał ją Konradowi, Radziki i zamek oddając Bolesławowi. Po śmierci ojca złość szarpała serce Kon-



Ruiny zamku Grabowiec w Radzikach Wielkich.

rada, że nie dostał zamku i, zwoławszy wykonawców woli ojcowskiej, zażądał zamiany z bratem Bolesławem, na co ten się zgadzał, zasmucony bardzo nienawiścią Konrada do siebie i do wszystkiego swego. Ale sąsiedzi nie zgodzili się na ustępstwo Bolesława, kładąc synom szanować wolę rodzica. Wtedy Konrad uciekł się do pomocy krzyżackiej. Mistrz obiecał Konradowi że go zrobi kasztelanem ziemi Rypińskiej, jeżeli Konrad dopomoże mu zdradą do zwycięstwa. Konrad się zgodził z radością. Krzyżacy istotnie zawojowali ziemię polską i zamki zdobyli, wskutek zdrady Konrada. Ale kiedy ten upomniał się o tytuły i nagrody, oddano mu tylko spustoszoną ziemię Rypińską. Kasztelanem nie chciano go zrobić, bo—mówił mistrz—jako zdrajca kraju i w dodatku człowiek, noszący na sobie klątwę matki, nie miałby posłuchu u ludu. Niebawem też król Władysław z Łokietkiem przybył na odsiecz zabranym ziemiom i pobił Krzyżaków, Konrada zaś, sponiewieranego przez obcych, wyklętego przez swoich, kazał ścinać. Odtąd upiór Konrada błaga się po lasach i zameczysku, niosąc pod pachą głowę ściętą. Taka legenda utworzyła się nad zwaliskami starego zameczyska Radzikowskiego.



Nowy teatr lwowski.

Inauguracja, garść wrażeń.

Lwów, d. 5 października.

Październikowe słońce złoci pożółkłe liście drzew, przygląda się w zwierciadlanych szybach wspaniałego gmachu, załamuje w jego gzymsach, ozdobach i rzeźbach, odbija od potężnej, miedzianej jego kopuły. Na szczytach budynku wesoło powiewają różnobarwne flagi, a dołem płynie ulicą radośnie usposobiona, uroczystością chwili do głębi przejęta fala ludzka...

To Lwów śpieszy na uroczystość inauguracji nowego teatru.

Był to prawdziwie, według słów prologu Kasprowieza, „wonny, jasny dzień,” ten dzień 4-ty października b. r. we Lwowie. Oczekiwany z upragnieniem, witany gorąco, nie zawiódł w niczem nadziei i oczekiwań. Wszystko dostroiło się do powagi i uroczystości chwili, nie jej nie zmąciło. Piękna szata zewnętrzna i wspaniałe wewnętrzne urządzenie nowego przybytku naszej sztuki dramatycznej, liczny zjazd zaproszonych, a gorące objawy udziału ze strony tych, którzy przybyć nie mogli, wielkie zainteresowanie się licznym udziałem miejscowych, podniosłe myśli i podniosłe słowa, które zaraz w pierwszej chwili rozległy się w świeżych całkiem jeszcze murach nowego teatru, bogactwo i pełnia wrażeń artystycznych, których doznali obecni na inauguracyjnym widowisku, wszystko to dostrajało się harmonijnie do siebie nawzajem i tworzyło całość świetną, dla uczestników uroczystej chwili niezapomnianą, a dla naszego życia posiadającą wartość nieocenioną.



Zygmunt Gorgolewski.

Pod szklanym dachem wspaniałej klatki schodowej teatralnego gmachu, po nabożeństwie, odprawionem na intencję nowego teatru, za staraniem nowego dyrektora, zgromadzili się w porze południowej przybyli z dala i z bliska goście, oraz wszyscy, co przedniejsi, w kraju i w mieście. Obok fioletów biskupich, widziałem bogate stroje i frak, i kapotę mieszczańską, i nawet sukmanę. Promienie jesiennego słońca, przegladając przez matowe szyby, zatrzymywały się na bogatych, lecz pełnych smaku i dystynkcji złoceniach sali, na pięknych freskach Tadeusza Popieła, na rzeźbach i marmurach wspaniałych, a oblewały powodzią światła obraz, sam przez się godny pendzla artysty, pełen życia, wyrazu i barw.

I oto naprzód w Imię Boże kapłan-arcypasterz, ks. Issakowicz, pobłogosławił dzieło pracy rąk polskich i nową siedzibę narodowej sztuki; potem twórca artystyczny budynku, architekt Zygmunt Gorgolewski oddał budowlę miastu, prezydent miasta, d-r Godzimir Małachowski w wymownych słowach rozwinął obraz usiłowań gminy nad doprowadzeniem dzieła do skutku, oraz wy-

raził nadzieje i oczekiwania, jakie gmina z tym przybytkiem sztuki łączy. Z kolei hr. Leon Piński, jako namiestnik kraju, zapewnił, że będzie uważał zawsze za swój obowiązek według sił i możliwości popierać rozwój nowej sceny lwowskiej, a jako miłośnik sztuki dramatycznej, rzucił kilka myśli o zadaniach i celu tej sztuki i sceny. Następnie marszałek kraju, hr. Stanisław Badeni, w podniosłych słowach dał wyraz uczuciom, jakie w tej chwili ożywiają „nietylko tych, którzy są dziś tu obecni, ale i wszystkich tych, dla których teatr jest przecież czemś więcej, niż zwykłym miejscem rozrywki,” oraz wyraził nadzieję, iż publiczność pamiętać zechce, „że znawstwo prawdziwego pojęcia może więcej na odczuwaniu, zrozumieniu i podkreślaniu stron dodatnich i pięknych, niż na wyszukiwaniu ujemnych.”

Teraz burmistrz d-r Srb złożył przywiezione od Złotej Pragi czeskiej pozdrowienie, adres i wieniec srebrny, a następnie zebrał głos dyrektor, p. Tadeusz Pawlikowski, by zapewnić, że sztuce i pracy nad nią „całego siebie oddaje,” że przyszedł „pracować dla sztuki, a szczególnie dla sztuki narodowej.” Wezwaniem: „Towarzysze moi, artyści, dalej zakazmy ręce do pracy!”—zakończył p. Pawlikowski gorące swe słowa. Jeszcze piękny wiersz Aurelego Urbańskiego ku uczczeniu uroczystej chwili, jeszcze przemówienie Wł. Wołęńskiego imieniem artystów, a Jana Lewińskiego imieniem przedsiębiorstwa budowy, jeszcze kantata Galla, odśpiewana przez połączone chóry Towarzystw lwowskich—i oto pamiętna uroczystość skończona. Nowy teatr lwowski otwarty. Serce radość przejmując, a łza zasnuwa oko, oko nietylko Anieli Aszpergerowej, która patrzyła niegdyś na urodziny sceny hr. Skarbka, potem była tej sceny i jej tryumfów *magna pars*, niedawno widziała jej zamknięcie, a teraz stała przy kolebce nowego teatru. Na usta świadków pamiętnej chwili mimowoli cisną się końcowe słowa prologu Kasprowieza:

O boża pieśń! o cudna paproci!
Ty w naszych sercach na wieki się pleń!
W niezgasłych blaskach niech się dzień twój złoci,
Nieustającej chwały jasny dzień!

Scena ta sama, dekoracja zmieniona. Wieczór, noc jesienna, ciemna, chłodna, ale pełna pogody. Przed oświetlony budynek nowego teatru długimi szeregami zajeżdżają powozy, z nich wysypuje się publiczność strojna, wytworna: uroczyste panie, elegancy i poważni, lub kwitnący młodzieńcy panowie. Powódź elektrycznego światła zalewa westybul klatkę schodową, krużganki, wspaniałe foyer z pięknymi obrazami



Tadeusz Pawlikowski.

Dębickiego, Kaczora-Batowskiego, Juliana Żubera, Marcellego Harasimowicza i in., oraz rzeźbami figuralnymi naszych artystów i rzeźbami dekoracyjnymi prof. Piotra Harasimowicza, wreszcie widowię, okazałą a zgrabną, praktyczną i nadzwyczaj gustowną, znowu przyozdobioną obrazami Stanisława Rejchana, Augustynowicza, Köhlera, Krzyżmińskiego, Z. Rozwadowskiego, Rybkowskiego, Kühna, Pie-

tschai in., oraz rzeźbami, które tu, czy tam, pochodzą z pod dłota Baracza, Bełtowskiego, J. Markowskiego, A. Popiela, Wiśniowieckiego, Wojłowicza i Wójcika.

Widownia powoli zapełnia się. Z odświętnych szat, z urczystego nastroju zebranej publiczności czytasz powagę chwili, poznajesz, że jeszcze moment, a

...na własne zobaczycie oczy:

Jak się objawia potęga tej pieśni,
Która niech będzie u nas w czci i chwale
Na wieki wieków! Jak przemienia serce,
Choćby najprostsze i najrubasniejsze...

Wreszcie zasłona się podnosi. Nie jest to jeszcze zasłona Henryka Siemiradzkiego, lecz jedna z zasłon, wykonanych także artystycznie przez świetnego twórcę dekoracji scenicznych nowego teatru, Stanisława Jasieńskiego.

Na scenę wychodzi „aktor“ (p. Wysocki) i rozpoczyna prolog Jana Kasprowicza: „Baśń nocy świętojańskiej“, rzucając hasło: „Niechaj się pocznie hołd, składany sztuce!“

Znika teraz i druga zasłona, a scena zaludnia się wdzięcznymi postaciami „lilii“, „kaliny“, „pszczołki“, „jętki“ i t. d., przed oczyma widza rozsnuwa się pełen wdzięku sen świętojańskiej nocy, ucho zaś chwyta „czarowne słowa...“ Brzmi z nich dosadnie „miłość pieśni i cześć bezbrzeżna dla wielkich jej twórców“, w duszy widza budzą się obrazy wszystkich namietności ludzkich, które przez sztukę zostały zaklęte w kształty artystyczne, ożywia pamięć arcydzieł naszej i obcej literatury, rodzi przecucie nowych artystycznych kierunków i prądów.

Ze skupioną uwagą, z zapartym oddechem słucha publiczność hartownych, a istotnie „czarownych“ słów poety, podkreślanych kiedy niekiedy muzyką p. Seweryna Bersona.

Po „baśni“ Kasprowicza—zawsze śliczna, zawsze wzruszająca do głębi komedia jednoaktowa Fredry (ojca) „Odlutki i poeta“, a potem—nowa opera Żeleńskiego „Janek.“ Co za biesiada artystyczna!

Publiczność oklaskuje z zapałem nadwyzczajną staranność w wystawieniu opery, jak i poprzednich sztuk kierownictwo artystyczne, ulubionego a znakomitego kompozytora, wreszcie nowego a dzielnego kapelmistrza, Ludwika Czelańskiego.

Przedstawienie kończy się dopiero koło północy, pomimo to wszyscy w podniosłym usposobieniu opuszczają nowy przybytek sztuki, czując, że w nim istotnie zamieszkała teraz prawdziwa—Sztuka.

* * *

Wspaniałym finałem dnia był raut w pałacu Sejmowym, wydany przez naczelnika kraju, hr. Stanisława Badeni, dla uczczenia uroczystości. Podobnie jak w południe, po uroczystości poświęcenia zgromadzili się uczestnicy pamiętnego zebrania w ratuszu, gdzie ich podejmowała rada miejska, tak wieczorem, a właściwie już ku północy, zaludniły się nimi wspaniałe sale, krużganki i klatka schodowa Sejmu.

Marszałek Badeni ma sławę nadwyzczaj



Klatka schodowa nowego teatru lwowskiego.

uprzejmego a niestrudzonego gospodarza; tym razem zadanie miał tem trudniejsze, że małżonka jego, hrabina Cecylia Badeniowa, będąca w żałobie po matce, ś.p. hr. Mierowej, bawi za granicą; wszyscy zachwyceni jednak byli wspaniałością i świetnością wieczoru, chociaż wieczór, skutkiem nieobecności pani domu, zgromadził tylko męskie towarzystwo. Był to obraz godny zaiste pendzla artysty; widok tylu znakomych pisarzy, literatów, wybitnych skąd inąd osobistości, zebranych z okolic nieraz odległych i rozmawiających z ożywieniem przy dźwiękach kapeli, a to wszystko na tle kapiących się w świetle elektrycznym i w zieleni kwiatów okazałych sal marszałkowskich.

W piątek, dnia 5 b. m., po drugim przedstawieniu galowem, odbył się jeszcze w pięknie ozdobionych salonach Koła literackiego bankiet,

urządzony przez Koło i przez dyrektora teatru p. Pawlikowskiego. Oprócz licznie zebranej drużyny literackiej i artystycznej Lwowa, oraz grona wybitnych osobistości, w bankiecie wzięli udział wszyscy niemal zamiejscowi goście z panią Marcello-Palińską na czele, oraz wszyscy artyści i artystki teatru lwowskiego.

* * *

Lwów ma już zatem nową scenę. Niech ona spełni wszystkie oczekiwania, niech będzie prawdziwą świątynią sztuki, niech stanie się przybytkiem wzniosłych myśli i słów górnych... Jak bowiem powiada „aktor“ w prologu Kasprowicza: „Słów nam potrzeba wielkich i natchnionych...“

A. B.

Kronika powszechna.

Ze świata katolickiego.

Kongresy katolickie. Jesteśmy w pełnym sezonie katolickich zjazdów i zebrań. Do zanotowanych w numerze poprzednim dodajemy szereg następujących. Przed innymi, jako najbliższymi nas obchodzącymi, zaznaczyć należy wiec

pozański, narodowo-religijny, którego celem był zbiorowy protest oraz uchwalenie środków obrony przeciw osławionemu rozporządzeniu ministra oświaty, Studta, narzucającemu dzieciom polskim naukę religii w języku niemieckim. Jeden z mówców propo-

nował rozpaczliwy wprost środek: mel-dowania dzieci jako bezwyznaniowych. Słusznie atoli adwokat Woliński propozycję tę odrzucił, bo w rzeczy samej byłaby to broń obosieczna. Gorące oklaski wywołała mowa panny Omańkowskiej, zwłaszcza zaś, gdy

dzielna rzeczniczka praw narodowych opowiedziała następujący wypadek. Pewien kapłan zagadnął spotkanego na polu pastuszka, czy umie pacierz niemiecki; a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, zażądał odmówienia pacierza po niemiecku i po polsku. I oto

rzecz charakterystyczna: chłopiec odmówił „Vater unser“ stojąc, w czapce na głowie i z batem w ręku, zaś na „Ojcie nasz“ czapkę zdjął, bat porzucił i ukląkł! Zbytecznym byłoby objaśniać, że zachowanie się chłopca wiejskiego nie było wcale wyrozumowane, ani też tendencyjne. Przemówiła przez niego bezpośrednio sama natura, którą my dopiero rozumem odczytujemy i motywujemy. I więcej, doprawdy, warto ono rozrzucające a pełne ukrytej filozofii zdarzenie, aniżeli długie na ten temat wywody. Wogóle z przebiegu całego wiecu odnosi się błogie wrażenie, iż prześladowanie pruskie budzi w Polakach ducha narodowego, a przezeń i poczucie religijne ożywia. Narodowość, zagrożona na polu religijnym, chwytła się obracząc wiary ojców; religia, zagrożona w swej naturalnej *conditio sine qua non* — języku macierzystym — staje w obronie narodowości. Wiecownicy uchwalili protest w pięciu punktach przeciw reskryptowi Studta, wystosowali adres do ks. arcybiskupa Stabilewskiego i wysłali telegram do Ojca św., na ręce kardynała Ledóchowskiego. Podobne do poznańskiego zebranie, złożone z przedstawicieli wszystkich stanów i zawodów, odbyło się w Gnieźnie. *Ks. I. Ch.*

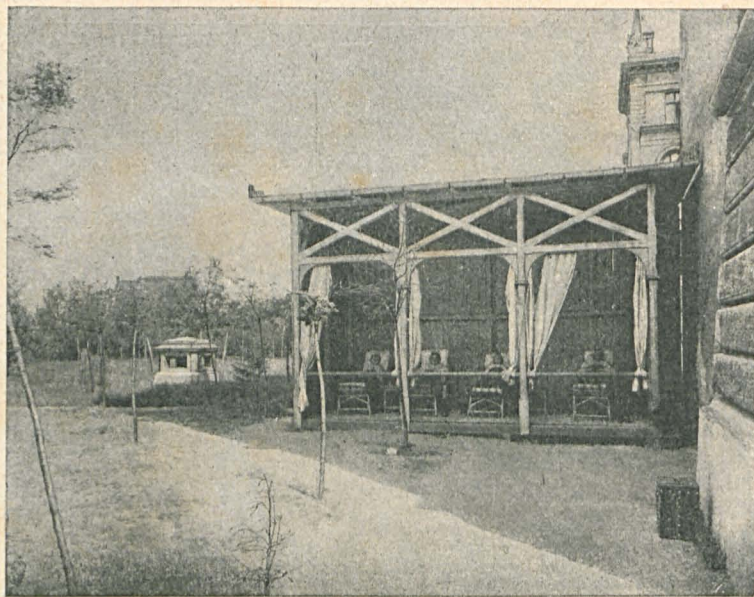
Polityka.

Nad sytuacją sprawy chińskiej zapanał znowu ton pesymistyczny. Informacje z ostatnich dni podają silnie w wątpliwość dobrą wiarę edyktów chińskich, mających umożliwić porozumienie z mocarstwami. W obecnej chwili przedmiotem rokowań dyplomatycznych pomiędzy gabinetami jest nota francuska, wzmiankowana już kilkakrotnie w telegramach. O nocy tej agencja rosyjska komunikuje następującą wiadomość: „Minister spraw zagranicznych, Delcassé, polecił ambasadorom Francji, ażeby zebrali opinie mocarstw współdziałających na azjatyckim Wschodzie w przedmiocie ułożenia ogólnego programu układów z Chinami. Jako wniosek, przedstawiciele francuscy wręczyli gabinetom podpis następującej noty: Wysyłając swoje siły zbrojne do Chin, mocarstwa miały przede wszystkim na celu oswobodzenie obłożonych poselstw. Dzięki jednoci i waleczności wojsk, cel ten osiągnięto. Obecnie idzie o to, aby od rządu chińskiego, który upoważnił księcia Czanga i Li-Hung-Czanga do prowadzenia układów i zawarcia umowy jego imieniem otrzymać zadośćuczynienie za przeszłość i rekompensację na przyszłość. Przejęty duchem, którego wyrazem były oświadczenia innych mocarstw, rząd rzeczypospolitej uważa za konieczne wypowiedzieć zdanie co do punktów następujących, które powinny posłużyć za podstawy układów: 1. Ukazanie głównych winowajców, których wskazać mają posłowie mocarstw w Pekinie. 2. Ustalenie zakazu hurtowego przywozu broni i materiału wojennego do Chin. 3. Słuszne wynagrodzenie strat poniesionych przez państwa, stowarzyszenia i osoby prywatne. 4. Ustanowienie stałej straży poselstw w Pekinie. 5. Zniesienie fortifikacji Taku. 6. Okupacja zbrojna

dwóch albo trzech punktów pomiędzy Pekinem a Tientsinem, aby zabezpieczyć stałą komunikację kolejową w interesie poselstw, gdyby posłowie chcieli udać się do portu, tudzież wojsk cudzoziemskich, zamierzających udać się do stolicy. Warunki powyższe, zgodnie sformułowane przez przedstawicieli mocarstw i poparte obecnością wojsk międzynarodowych, będą miały charakter zupełnie legalny i, zdaniem rządu rzeczypospolitej — przez rząd chiński nie mogą być odrzucone. — W dzisiejszym numerze dajemy kopię charakterystycznej ryciny chińskiej. Obraz wystawia pogrom wojsk cudzoziemskich. W głębi, na ostatnim planie, płoną okręty flot zjednoczonych, a na głównym planie bokserzy ciągną wodzów przed sąd mandarynów. Za pomocą takich środków agitacja rewolucyjna obalamuła naród, utrzymując go w przekonaniu, że Chińczycy odnoszą zwycięstwa nad nieprzyjacielem.

Sanatorium dla piersiowych w Łodzi.

Od roku 1899-go istnieje przy szpitalu im. Małż. Poznańskich w Łodzi „Oddział dla piersiowych.“ Jest to jedyna w obecnej chwili lecznica tego rodzaju u nas. Wobec faktu, że daleko nam jeszcze do sanatoriów ludowych, odpowiadających swą liczbą potrzeb, szpitalne sanatoria dla suchotników powinny znaleźć jak najszersze urzeczywistnienie, szczególnie przy szpitalach prowincjonalnych. Szpital im. Poznańskich, niewątpliwie najładniejszy i najdoskonalszy w kraju szpital ogólny, umożliwia stosowanie w oddziale dla piersiowych metody



Sanatorium dla piersiowych w Łodzi.

leczenia *dyetetyczno-hygienicznej*. Oddział dla piersiowych mieści się w dwu wielkich salach (każda ma 300 m. sz. przestrzeni), znakomicie przewietrzanych. Obok każdej sali — pokój dla służącego. Sala umeblowana lepiej, aniżeli zwykłe sale szpitalne; zdobiją kwiaty, lustra, zegar, chodniki, obrązy i t. p. sprzęty pewnego komfortu. W ogrodzie ustawiono dwie leżalnie (Liegehallen), w których chorzy spędzają większą część doby, leżąc na kanapkach trzcinowych, pokrytych materacami skózanymi. Do oddziału są przyjmowani tacy chorzy, których stopień cierpienia pozwala spodziewać się trwałego wyleczenia, lub przynajmniej znaczniejszej poprawy. Dotychczasowe wyniki są bardzo zadowalające. Oddział utrzymywany jest ze środków dobrej woli. Na ostatniej wystawie przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie otrzymał „Oddział dla piersiowych przy szpitalu Małż. Poznańskich

w Łodzi“ najwyższe odznaczenie w postaci *dyplomu honorowego*.

Z prasy polskiej.

Pierwszy numer *Kroniki Rodzinnej*, przeobrażonej z dwutygodnika w tygodnik, ukazał się w bardzo pięknej szacie typograficznej. Redakcja w „Słowie wstępnem“ zapowiada, że będzie organem *par excellence* katolickim, i że zadaniem jej będzie budzenie uczuć religijnych wśród najszerszych warstw ogółu, ze szczególnem uwzględnieniem klas rzemieślniczych i oddanych ciężkiej pracy. Będzie to więc pismo popularne, w którem obok rozbioru spraw religijnych znajdą czytelnicy pożyteczne informacje i, odpowiednią dla swego poziomu umysłowego, rozrywkę. Sprawy rzemieślnicze, robotnicze, oraz rozwój handlu i przemysłu chrześcijańskiego będzie miał w redakcji *Kroniki*, jak głosi „Słowo wstępne“, rzeczników wytrwałych. Zajmujący i urozmaicony tekst zdobiją liczne i pięknie odbite ilustracje. — *Meloman* wydał bogaty numer za październik, zawierający między innemi nową pieśń Wł. Żeleńskiego „Babie lato“, Paderewskiego „Chant d'amour“, Rzepki „Krakowiczek“, oraz szereg kompozycji z Griegiem na czele. Treść, jak widzimy, imponująca. — *Świat artystyczny*, nowy dwutygodnik, sztukom plastycznym poświęcony, ukazał się w dniu 1 października i zawiera artykuły Gersona, Felicyana, Ant. Jabłońskiego, Jana Zagórskiego, F. Hösicka, Tomkowicza, Dulębianki. — *Ekonomista*: „Kasy“ przez Z. P. — *Pszczelarz i Ogrodnik*: „O odurzaniu pszczoł, ule i ich systemy“, „Malina.“ — *Wszechświat*: „O nowych ciałach promieniotwórczych“ przez Maryę ze Skłodowskich-Curie. Najnowsze artykuły spożywczo-chemiczne. — *Niwa Polska*: „Szablony“, „Listy z Krakowa.“ — *Słowo*: „Węgiel dla Warszawy.“



Sanatorium dla piersiowych w Łodzi.

Z muzyki.

„Figaro“ donosi o niezwykłym powodzeniu, jakie na koncercie Colonne w Paryżu podczas wystawy zdobyła pani Jadwiga Zaleska. Po wykonaniu

jeszcze na trzy koncerty następne. Pani Z. grała z orkiestrą Colonne cztery razy. Obecnie wróciwszy, koncertuje w kraju razem z siostrą swoją, Zofią Iwanowską, młodą, utalentowaną skrzypaczką, uczenicą pp. Barcewicza, Hanickiego, a ostatnio p. Bertolet'a w Paryżu.

Ze świata kobiecego.

W Paryżu odbył się drugi z kolei, podczas wystawy, kongres kobiecy. Gdy na pierwszym obrady dotyczyły głównie poprawy bytu kobiet przy pomocy odpowiedniego wychowania i zakładów opiekuńczych, oraz powiększenia zakresu zarobkowego i rozszerzenia ich działalności w dziedzinie filantropii, na kongresie ostatnim porządek dzienny rozpraw obejmował prawne stanowisko kobiet i reformę prawodawstwa obecnego, którego przepisy krzywdzą kobiety w wielu wypadkach: doprowadzenie kobiety do urzędów i godności publicznych, równouprawnienie jej z mężczyzną jako obywatelki państwa. Referentem tych kwestii był adwokat Viviani. Jako charakterystyczną nowość, której powodem stała się niewyczerpana gadatliwość niektórych członków ostatniego

miocie podczas jednego posiedzenia. Kongres trwał dni cztery, a prezeską była pani Marya Pognon, która w mowie inauguracyjnej skreśliła rozwój ruchu kobiecego w ciągu ostatnich dziesiątków lat. Referat, dotyczący pierwszego punktu porządku dziennego: „Równość płacy“, odczytała panna Bonnevial. Kwestya ta wywołała bardzo gorące rozprawy, w których żywy udział brali obecni na posiedzeniu członkowie rady miejskiej. W toku dalszych obrad największe zaciekanie obudził referat doktorki Edwards-Pillet z dziedziny „Hygieny“ i pani Avril de Sainte-Croix, która skreśliła historyczny rozwój prostytucji. Po czterodniowych posiedzeniach kongres zakończył narady i postanowił między innymi: domagać się zniesienia wszelkich środków wyjątkowych wobec jednakowej odpowiedzialności i moralności obu płci; we wszystkich szkołach nauczyciele i nauczycielki mają działać wspólnie, a nauka winna być udzielana od szkoły początkowej do uniwersytetu wspólnie wychowawcom męskim i żeńskim; wprowadzić do prawa francuskiego przepis, pozwalający poszukiwaniu ojcostwa; uzyskać dla żony prawo samodzielnego zawierania umowy handlowej lub prowadzenia procesu bez upoważnienia męża.

Kroniczka fotograficzna.

Już w r. 1855 Molard zwracał uwagę na amoniak płynny, jako środek służący do utrwalania (fiksowania) w procesach fotograficznych. Pismo „Helios“ przypomina te własności amoniaku, szczególnie zalecając go do utrwalania odbitek na papierze, po wi-

rażu. W tym celu bierze się roztwór amoniaku potrójnego (Liquor amonii caustici triplex), w stosunku 1 część na 5 część wody. Odbitki na papierze kolodionowym, celloidynowym potrzeba trzymać w tym płynie około 10 minut, na albuminie około 5, na papierach żelatynowych około 15, ażeby utrwalenie było zupełne. Po utrwaleniu myć cokolwiek krócej niż po użyciu utrwalacza natronowego (podsiarkonu sodu). Otrzymane odbitki mają być nadzwyczaj czyste i trwałe.

Wl. K.

Humor i satyra.**Pociecha.**

— Ależ, moja droga żono, nie pojmuję dlaczego się tak irytujesz, że czekasz na mnie już od siedmiu godzin. Penelopa musiała na swojego męża czekać 20 lat!

☆ ☆ ☆

Komornik do tenora bohaterskiego.

— Ponieważ nie więcej zając u pana nie mogę, przeto przykładam pieczęć na usta. Utrzymuj ją przecież, że masz pan złoto w krtani!

☆ ☆ ☆

Po powrocie z kolacyjki.

— Stoję przed moim mieszkaniem, tego jestem pewien; żebym tylko mógł się połapać, czy jestem w pokoju, czy za drzwiami?...

☆ ☆ ☆

Złowrogie gwizdanie.

— Dlaczego wyprowadziliście się państwo do takiej odległej dzielnicy miasta?

— Bo widzi pani, mąż mój pisze dramaty i gwizdanie konduktorów tramwajowych bardzo go denerwuje.



Jadwiga z Iwanowskich Zaleska.
Według biustu Spicera-Simsona.

koncertu g major Rubinsteina, wywoływano artystkę siedm razy, a zapal publiczności, która wypełniła salę po brzegi, był tak wielki, iż skłoniło to p. Colonnę do zaproszenia wirtuozki

kongresu kobiecego, zaznaczyć należy artykuł 11 porządku dziennego, postanawiający, aby jedna osoba nie mówiła dłużej niż dziesięć minut i nie więcej niż dwa razy o tym samym przed-

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Jan Sten: Jeden miesiąc życia. Utwory prozą. Kraków, 1900.—„Nieraz czuje się nieprzeparowaną potrzebę, prawie żądzę pograżyć się w błocie duszą i ciałem, wykapać w brudzie.“ Ten aforyzm, wyjęty z noweli „Spotkanie“, znajdującej się w wymienianym u góry zbiorze, możnaby postawić na czele całego tomu. Zdarza to się, niestety, nietylko nosorożcom i słoniom... Najlepszym dowodem książka p. Stena, który i sam się kąpie i każe się kąpać czytelnikowi w błocie. Czy po to, „aby potem podnieść się czystszy z upadku?“—jak głosi dalszy ciąg aforyzmu—nie sądzimy. Brud i błoto, czyli wogóle brzydota moralna i fizyczna, może być równie dobrym czynnikiem sztuki, jak wiele innych pierwiastków życiowych, pod warunkiem, że do opracowania ich zabierze się—wielki talent. Po przeczytaniu Balzaca, który opisywał daleko gorsze okropności od pana Stena, czytelnik wychodzi z „kąpieli błotnej“, oczyszczony i podniesiony duchowo, a po przeczytaniu nowel p. Stena, czytelnik czuje tylko—niesmak i nudę. Dlaczego? Bo Balzac był wielkim artystą i myślicielem, który z błota wydobywał brylanty, a p. Sten jest niedołężnym ramociarzem, który z błota życiowego robi tylko marne „błotko“, nawet nie błoto „literackie.“ O ileż wyżej stoi pod tym względem Niedźwiecki, który również nie lęka się błota życiowego—ale ma talent! Nie idzie nam tu o wybór tematów, lecz o ich obrobienie: nie przy-

kładamy do książki p. Stena miary etycznej, tylko estetyczną, i przekonujemy się, że mamy do czynienia z płodem poronionym, albo ściślej mówiąc, z płodem, w którym niema i nie było nigdy ani żłbka życia estetycznego, bo był martwo poczęty. Pomysły, postaci, styl, kompozycja, wszystko traci o milę banalnością, która się sadowi w wielkim, ale bezskutecznym wysiłku, na oryginalność. Język poprawny, ale płaski, pospolity, bez cienia indywidualizmu. I w nowelach Żeromskiego spotykamy tematy analogiczne, ale co się z nich robi pod piórem tego artysty z „bożej łaski!“ Jak tam wszystko drga życiem, bólem, rozpaczą, oburzeniem. I Reymont bywa często brutalny i jaskrawy, ale imponuje żywiołową siłą, szczerością i plastyką. P. Sten umie pisać gramatycznie, a i to dzisiaj coś znaczy, ale nie umie pisać artystycznie, nie ma ani uczucia Żeromskiego, ani energii Reymonta. Ułożył wyrazy w zdania, zdania w stronicę, a stronicę w książkę—i po co? Po to, żeby nam opowiedzieć w sposób jałowy, bezduszny i nudny—o, śmiertelnie nudny!—jak jakiś p. Karski, czy Turski—bo postaci te tak mało odskakują od płaskiego tła opowieści, że trudno je wziąć za dwa oddzielne indywidua, zakochał się w narzeczonej p. Turskiego, czy Karskiego. Zakochał się, sam nie wie dlaczego, przez złość, zazdrość, czy coś podobnego, ale ostatecznie zakochał się i cierpi, chce skakać do Sekwa-

ny, pisuje liche wierszydła—autor zdaje się być co do ich wartości innego zdania—tarza się w rozpucie i, dowiedziawszy się, że termin ślubu przyśpieszony, woła: „Czy rozumiesz, ty podła, trupia masko!“—i koniec. Inny, ten właśnie, który lubił używać błota, jako środka do oczyszczenia duszy, idzie do lupanaru i spotyka tam kolegę szkolnego, genialnego cygana, który mieszka niemal stale we wspomnianym lokalu. Geniusz czuje się w błocie jak we własnym żywiole i rzuca pioruny na filistrów, na obłudę (nawiasem mówiąc, pioruny bardzo starej i szablonowej roboty); kolega słucha tego wszystkiego z podziwem, wreszcie, czując, „że powinien iść do domu“, wychodzi zadowolony z siebie i wraca do mieszkania, by tam, patrząc na piękną twarz uśpionej żony, zawołać: *Das Laster ist doch schön!* Wszystko to dobrze, wszystko to jest możliwe, wszystko to zdarzyć się mogło, gdziekolwiek i kiedykolwiek, ale to nie racya, żeby takie zdarzenia, czy anegdoty przenosić w dziedzinę sztuki *in crudo*. Należało te figury uwypuklić, zindywidualizować, nadać im życie, charakter, pogłębić ich psychologię, słowem: zrobić z nich dzieła sztuki, nie papierowe cienie, które, dzięki swej nikłości, nie budzą żadnego interesu, ani psychologicznego, ani estetycznego. Autor pozuje na analityka, ale robi sekcyje duszy, nie subtelnym skalpelem, lecz łopatą, i wskutek tego wpada często w trywialność: za-

miast drgających bólem włókien serca, widzimy szablonowe grymasy obojętnych twarzy i—nudzi-my się. Cóż kogo może obchodzić ów dyrektor, przesycony życiem, który porzuca zamiar samobójstwa, skosztowawszy dobrego barszczu? To szkic, z którego możnaby coś ciekawego zrobić, gdyby p. Sten umiał „robić,” ale p. Sten, przy wielkich pretensjach, cierpi na absolutną niemoc artystyczną. Mógłby on być dobrym, a może na-wet wybitnym adwokatem, lekarzem, przyrodni-kiem, ale—sądząc z ostatniego tomu nowel—pisa-rzem, literatem, artystą nie będzie nigdy. Nawet sielanka w „Pełnem słońcu,” jeżeli nie najlepsza, to najczystsza z całego zbioru, nie odznacza się oryginalnością formy i treści. Spotykaliśmy lepsze nietylko u mistrzów.

Edward Słowski: Ból, Melancholia, Żal etc. (Poezye). Warszawa, 1900 r. — Kilka zaledwie utworów, wydanych przepysnie, na czerpanym pa-pierze, dużego formatu. Są to głównie t. zw. „nastroje,” muzyka wewnętrzna duszy, nawpół sennie, nawpół wsłuchanej we wszelkie szmery i westchnienia własne, trochę świadomej proce-sów swoich, trochę bezwiednej, zatopionej w ogólnem życiu natury, zlewającej w jeden melodyjny akord własne nastroje i odczucia z jej nastrojami. „I płynie moja pieśń—powiada poeta—jako chmur wełna, jako błękitnej rzeki wstęga, cała nieznanych tęsknot pełna, owiana mgłami białymi, a tak łkająca, jak nikt na tej ziemi, a sięgająca tam, gdzie nikt nie sięga..” („Cisza”). Nie podzie-lając tego rodzaju złudzeń poety, można zgodzić się z tem, że pieśń jego, w istocie, tak płynie i rozsnuwa się, jak chmur wełna, jako błękitnej rzeki wstęga, owiana mgłami białymi, pełna tęsk-not nieznanych, że idzie cicha i drżąca, falująca monotonnie i melodyjnie, dźwięcząc miękko, łag-odnie, że jak cienie szare rozwiesza się, o zmierz-chu, wszędzie po szczytach drzew, po wzgórzach, po błękitach, że rozchodzi się głucho, jak echo, i ginie gdzieś, jak ono, bez wieści... Wielką me-lodyjnością rytmu odznaczają się zwłaszcza utwo-ry „Melancholia” i „Cisza.” Zbyt rozciągniętym i dość niedbale przerywanym jest rytm utworu „Ból.” Ideje śmierci, nicstwa, poczucie nudy i monotonii bytu, tęsknoty bezbrzeżne i bezprzed-miotowe, łkania stłumione i nagle szarpnięcia ser-ca: oto, co się wciąż przewija w tych „nastro-jach” duszy poety. Niektóre z nich tkwią upor-czywie w duchu poety, inne należą do bardziej zmiennych i ruchliwych.

Leon Rygier: Z motywów greckich. Warsza-wa, 1900 r., str. 40.—Zbiorek nieduży utworów po-czątkującego poety, opartych głównie na szkol-nych reminiscencyach klasycznych. Stąd więc naj-pewniej ich tytuł: „Z motywów greckich.” Znajduje-my tu przedewszystkiem dekoracje mitologiczno-klasyczne. Są więc: bluszcze i mirty, Demeter, Afrodyty, Dryady i Najady, jest Helios, Apollo i t. p. niezbędne pierwiastki „motywów” greckich. Po za tem jest również dążność do jasności, do linii i zarysów wyraźnych, do zwięzłego wyraża-nia uczuć i pragnień. Poeta trzyma w karchach wyobraźnię swoją, nie pozwala jej na skoki i bła-kanie się, najprostszą drogą każe jej iść do celu. Wszystko jest tu w stanie skrzystalizowanym, po-zbawionym mglistości i nie zdecydowanych uspo-sobień. Utwory p. Rygiera, pomijając ich kon-wencyonalne tło, są dość bezpretensjonalne i pod względem formy dość staranne i skromne.

J. W.

Mikołaj Kostomarov: Kudejar.—Jest to prze-kład polski powieści znanego autora ukraińskiego i rosyjskiego. Rzecz osnuta na tle stosunków z epo-ki panowania Iwana Groźnego.

ODPOWIEDZI.



Panu S. S. Banknot, którego podobiznę otrzy-maliśmy, pochodzi z seryi biletów kredytowych, wy-puszczonych w obieg na podstawie uchwały Rady Najwyższej Narodowej w Warszawie z dn. 8-go czerwca 1794-go r. Rada, celem pokrycia nadzwyczaj-nych wydatków, spowodowanych ówczesną zawieruchą wojenną, postanowiła po raz pierwszy w Polsce wy-puścić w kurs biletów kredytowych na sumę ogólną złp. 60 milionów, zabezpieczając ich wartość na wszelkich dobrach narodowych. Biletem wzmiankowanym Rada nadała niejako kurs przymusowy, bo na osoby, któreby odmówiły ich przyjęcia przy wypłatach, wy-znaczyła odpowiednie kary pieniężne. Na fałszerzy biletów ustanowiono karę śmierci i konfiskatę mająt-ku, przyczem donosicielowi Rada przyrzekała wypła-cić sowitą nagrodę w sumie złp. 50,000. Bilety miały być zamortyzowane w ciągu lat sześciu. Uchwałą z dn. 11-go sierpnia tegoż roku postanowiono wypu-ścić biletów na złp.: 1,000, 500, 100, 50, 25, 10 i 5, zaś uchwałą z dn. 11-go września na złp. 4, poczem wy-dział skarbu zaprojektował dodatkową emisję drob-nych biletów na: złp. 1, gr. 20, 10 i 5. Ale projekt wydziału tylko w części doszedł do skutku, bo bank-notów złotych w całości zaledwie 24 egzemplarze wy-puszczono w świat, zaś dwudziestogroszówek wcale nie fabrykowano. Lubo publiczność na samym po-czątku niechętnie przyjmowała bilety skarbowe, a w bardzo krótkim czasie, pomimo groźb i środków przymusowych, zupełnie ich brać nie chciała, niemniej Rada zdołała ten nowy gatunek monety obiegowej puścić w kurs, z wielką oczywiście szkodą odbiorców, bo po upadku kraju bilety te nie miały żadnej war-tości. Z uwagi właśnie na tę okoliczność, bilety wzmiankowane są dziś bardzo pospolite, i dlatego posiadają bardzo małą wartość numizmatyczną. Tak np. bilet na złp. 4, ceni się zaledwie kop. 5. Sztuki większe, dobrze zachowane, szacują się na kop. 15 do 40, stosownie do wielkości sumy, jaką wyobrażają. Wyjątek w tym względzie stanowi bilet złotych, który należy do pierwszorzędných rzadkości numiz-matycznych. Nieco rzadkie są bilety na złp. 500 i 1,000.

Niewiasta. Dosadne w treści, ale kulawe w rytmie.

Marguerita Stara piosenka na starą nutę.

P. H. S. Bilet można nabyć w Warszawie, w Biurze wagonów sypialnych na ulicy Kotzebue. Tam można się poinformować o szczegółach.

Zbych. Próba nieobiecująca.

P. Karol P. Adres: Marché, Arkansas, Amery-ka Północna (United States of North America). Są-dzimy, że to wystarczy.

NADESŁANE.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek prze-czyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniają-co. Na 10 wystawach powszechnych złotymi me-dalami odznaczona. Jest wszędzie.

WYDAWNICTWO

GEBETHNERA i WOLFFA
w WARSZAWIE.

...Z ZIEMI PAGÓRKÓW LEŚNYCH
Z ZIEMI ŁĄK ZIELONYCH..

KSIAŻKA ZBIOROWA
POŚWIĘCONA PAMIĘCI
ADAMA MICKIEWICZA
W STULETNIĄ ROCZNICĘ
JEGO URODZIN 1798—1898.

Z ilustracjami i portretami MICKIEWICZA.
Duży tom na pięknym papierze rub. 2.40, w opr. rb. 3.

W. Przyborowski Historia Sześciu Miesięcy

Ustęp z dziejów 1862 roku.

1 tom, str. 352, rub. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nakład księgarni K. GRENDYSZYŃSKIEGO
w Petersburgu.

NAUCZYCIEL człowiek młody z wyż-
szem wykształceniem,
chłubnymi rekomendacjami, poszukuje posady gu-
wernera w obywatelskim domu w Warszawie lub
na wsi. Oferty: Warszawa, poste-restante. Okazi-
cielowi rubla Nr 465,512.

Lekarz dentysta A. ZAWADZKI

Jerozolimka 49, róg Marszałkowskiej.

SPECYALNA FABRYKA

PORTYER

BERNARD LAUER i S-ka

w Warszawie, Żelazna 58, róg Grzybowskiej,
posiada na składzie wielki wybór portyer najnow-
szych deseni. Fabryka przyjmuje zamówienia na
swoje wyroby we wszystkich kolorach.
Ceny fabryczne stałe, nader przystępne.

PRZEPROWADZKI
A. WRÓBLEWSKI i S-ka
TRĘBACKA 13.
OPAKOWANIE
MEBLI

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA W WARSZAWIE

JULIUSZ KOSSAK

przez

Stanisława Witkiewicza

ALBUM JULIUSZA KOSSAKA,

ozdobione 260 rysunkami w tekście, 8 światłodrukami, 6 faecsimilami kolorowymi z akwarel i por-tretami podług L. Wyczółkowskiego i St. Witkiewicza.

Wydanie wytworne na pięknym welinie w ozd. oprawie ze złoceniami rub. 10.

Wydanie wyjątkowe (édition de luxe), na zbytkownym papierze większego formatu, w ozdob-nej oprawie rub. 18.

Wydawcy Gebethner i Wolff.

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Redaktor Dr Józef Wolff.

Redaktor przyjmuje codziennie z wyjątkiem świąt, w biurze redakcyjnej, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyjnej, nie zwraca się.

Дозволено цензурою, Варшава, 25 Сентября 1900 года.